Nr. 22. Kraków, luty 1910 r. Rok III.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1910 wynosi **3 kor.** — dla członków „Straży Polskiej“ i „Ligi“ **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi: **Kraków, Rynek główny L. 39.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Adres Administracyi: **Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

Miejsca dla Polski!

Ciżba myśli tłoczy się zwykle w naszej głowie; jakie przedmioty, jakie postaci zaludniają nieraz nasz umysł! Miewamy w głowie magazyny różnych — oby nie brudnych! — interesów i fantazyi. Trzepocą się w naszym mózgu, jakby ćma jednodniówek, sprawy i sprawki drobiazgowe. Przędze rozmaitych planów wikłają się nam w „rozumie“. A w taki zapchany i zaśmiecony przybytek nie może wejść piękna i czcigodna, jak anioł, Ojczyzna — Polska!...

Wir pragnień kipi w sercu naszem. Różne prądy przelewają się z siłą nadzwyczajną. Wypełnione mamy serce rwącymi strumieniami wszelakich pożądań I ach! jak często, niema tam krwi, rozgrzanej miłością Ojczyzny... Jak często w potokach naszych popędów nie bywa pędu ku polskim ideałom... I niemasz Polski w naszem sercu...

Więc rozsuńmy na bok figury niskich myśli i uczyńmy w głowie złocisty tron dla naszej Polski. Niech się cofną majaki i płaskie twory wyobraźni, a niech przybędzie umiłowana Matka-Męczennica. Ustrójmy Jej drogę i siedzibę całą ozdobą wzniosłej myśli i niechaj zamieszka, wdzięcznie władając wśród naszych obliczeń i marzeń.

Otwórzmy dla Niej serca naszego przestworze. Niech tam nad głębinami uczuć unosi się cudna postać Polski, jak biały Orzeł nad wodami Gopła... Hej! więcej przestrzeni w sercu dla tego Ptaka górnolotnego! Miejsca, miejsca dla Polski!

Godniejsza-ś, Ojczyzno, od tych tam wielkich tłumów myśli nieporządnych. Ze czcią się rozstąpi przed Tobą wrzaskliwa hałastra i gawiedź. Kurz myśli czczej opadnie i zejdzie słoneczna światłość Twojego zjawienia. Ścielcie się, jasne drogi w umyśle — ścielcie się, szkarłatne drogi w sercu. Przybywaj, o, Polsko nieprzewyższona, panować nam w myślach, w uczuciach.

W każdej głowie, w każdej piersi — miejsca dla Polski!

Dr. Kazimierz Lubecki.

Z LIRYK FELICYANA *)

Śpiew idących na śmierć.

(1863).

Idziemy. W oczach świat się przemyka,
Skrwawione bicze grzbiety nam sieką,
Nigdzie błękitów, nigdzie promyka...
Daleko jeszcze?
Ho! ho! Daleko!

Idziemy. Wszędzie kurzące zgliszcze,
Z chat ojców dołem dymy się wleką,
Siecze grad z deszczem, — wiatr zimny świszcze...
Daleko jeszcze?
Ho! ho! Daleko!

Idziem, — jak oczy zasięgnąć mogą,
Bieleją kości słoneczną spieką, —
Stąpamy po nich, trzeszczą pod nogą...
Daleko jeszcze?
Ho! ho! Daleko!

Idziemy — sowa huczy w oddali,
W poprzek po piaskach strugi łez cieką.
Pić, pić — wołamy — w gardle nam pali.
Daleko jeszcze?
Ho! ho! Daleko!

Idziemy dalej, tam znów pies wyje,
W poprzek krew wrząca wylała rzeką.
Brniemy do kolan, po pas, po szyję...
Daleko jeszcze?
Ho! ho! daleko!

Panie nasz, Panie, jak Tyś szedł z krzyżem
Tak my dziś trumny dźwigamy wieko —
A do Golgoty kiedyż się zbliżym?
Daleko jeszcze?
Ho! ho! daleko!

Idziemy dalej. Znój skrapia lica,
Szumi pomięte zewsząd ściernisko...
Patrzcie na skraju — o, szubienica! —
Daleko jeszcze?
Blisko już, blisko!

Przecież! Będziemyż mieli tam ciszę,
Tam aby spokój? — słodki nasz Chryste!...
— Wiatr was rodzinny w sen ukołysze,
Spowiją w całun tumany mgliste...

Czy nas kto wspomni? — Na waszej stypie
Sama niebieska zapłacze Pani,
I własna ziemia proch wasz przysypie,
Bo wyście jeszcze z wielu wybrani!

*) Przedruk z kopii, otrzymanej przed wielu laty od Adama Pługa, z jego albumu jubileuszowego.

Z pożółkłych kartek pamiętnika ojca.

...Ładownice nasze były puste. Szare szynele jegrów błyskały już z poza pni drzew, a zimna stal bagnetów posuwała się prosto ku nam. Byliśmy otoczeni. Szeroki, okalający nas pierścień, zwierał się szybko, spinając ostatnie swoje ogniwa w całość bez wyjścia. Nasz oddział, wysłany na zwiady w liczbie 25 ludzi, stopniał w tej krótkiej, niespełna godzinnej potyczce do 13. Czterech mieliśmy zabitych, 8 rannych. Przeciw nam szedł cały batalion regularnego wojska. Nadziei na wyjście z tego więcierza nie było żadnej. Zgodnie z komendą, czekaliśmy, aż przyjdzie chwila ostatnia. Zbici w gromadę, staliśmy pod pniem starej sosny. Jędruś Bohomolec, wyznaczony na parlamentaryusza, drżącemi rękami przywiązywał do ciepłej jeszcze lufy swojego sztucera białą chustkę.

Gdy zbliżał się moment stanowczy, zamknąłem oczy, żeby nie patrzeć. I stało się, że usłyszałem tylko wymianę słów pomiędzy Bohomolcem a oficerem jegrów. Potem wysunąłem odruchowo naprzód rękę z karabinem i za chwilę — ręka moja była wolna. Kilka gorących łez spłynęło mi po twarzy, usłyszałem kilka głuchych, tępym głosem rzuconych dokoła siebie przekleństw i wiedziałem, że wszystko skończone.

Byliśmy jeńcami. Otworzyłem oczy i znużony rzuciłem się na ziemię. To samo uczynili inni. Źrenice przysłoniły mi jakieś krwawe i czarne płaty, przez mózg szły mi dziwne obrazy, których nie umiałem pogodzić z rzeczywistością, wdzierającą się do świadomości przez zgiełk obcej mowy i szczęk broni. W końcu zmieszało się to wszystko w chaos i czułem, że tracę przytomność. Zemdlałem, albo li też zasnąłem — sam nie wiem. Obudził mnie dopiero w kilkanaście godzin potem nieprzyjemny, ostry warkot bębna.

Był szary wiosenny świt. Ocknąłem się, dygocąc na całem ciele. Dojmujące zimno przeszło mnie na wskroś, a gdy wstałem, łydki podemną drżały. Spojrzałem wówczas, zdumiony, po sobie i spostrzegłem, iż jestem w samej bieliźnie. To samo inni. Zostaliśmy obdarci ze wszystkiego. Nasze odzienie zwierzchnie, nie wyłączając butów, stało się łupem zwycięzców. Jak i kiedy to zaszło — nie umiem powiedzieć. Widocznie podczas głębokiego snu. Próżno Bohomolec, władający biegle językiem jegrów, przekładał dobrze podpitemu kapitanowi, do którego roty, nas jeńców, wcielono, że przecież mogliby nam zwrócić buty i czamary, podbite kożuszkami. Odpowiedział, że nic o niczem nie wie i że go to nic zgoła nie obchodzi. A że szef batalionu, jak nas poinformował stary jakiś żołnierz, mówiący z białoruska, już odmaszerował, więc nie było do kogo apelować.

Z konieczności pogodzeni z losem, drżąc z zimna, czekaliśmy na chwilę, gdy oddział ruszy. Na szczęście nie trzeba było długo czekać. Jeszcze raz zawarczał bęben, odezwały się dzikie piszczałki i kolumna zaczęła się ustawiać pod lasem, czwórkami, frontem ku bielejącej skroś krzaki zagajnika szosie krakowskiej.

W niespełna dziesięć minut byliśmy już w ruchu, a w pół godziny potem na szosie. Z kierunku drogi zmiarkowaliśmy, że nas prowadzą ku Olkuszowi. Mieliśmy więc przed sobą dobre trzy mile.

Ranek był wilgotny i chłodny. Lekki przymrozek nocny ściął błoto na szosie w twardą grudę, a tu i owdzie szerzej rozlaną wodę pokrył cienkiem, ostrem szkliwem lodu, który dzwonił i chrupiąc zapadał się pod ciężkiemi butami idących przodem. Nasza bosa trzynastka raniła więc sobie do krwi stopy o kłójące igły i z trudem mogła dotrzymać kroku obutym żołnierzom. Niepodobna było jednak wyjść z tempa, od tyłu bowiem napierały na nas dalsze czwórki...

Po godzinie takiego marszu byłem już śmiertelnie znużony. Nadto zimno, które w pierwszej chwili, pod wpływem ruchu, stało się mniej dotkliwe, ponownie zaczęło mi dokuczać. Czułem, że chłód ogarnął mnie całego, że wprost krew tężeje i krzepnie w moich żyłach, a w płucach odbywa się jakiś proces przedzapalny. Było mi jednak wszystko jedno. Nie chodziło mi wcale o zdrowie, tylko o usunięcie tego przykrego uczucia w danej chwili, o skrócenie tej męki, która stawała się nie do zniesienia. Gdybym miał w tym momencie jakąkolwiek broń przy sobie, nie zawahałbym się szukać ulgi w samobójstwie. Jeniec jednak pozbawiony jest wolności nawet w tym kierunku. Dobywając więc ostatnich sił, szedłem, jak automat, przymykając znużone powieki, aby nie patrzeć na nędzę własną i swoich towarzyszy.

Niebo było pochmurne, ołowiane, smutne, takie, jak bywa tylko w Polsce w beznadziejnie słotne dni. Jakoż zaczął na dobitek powoli prószyć drobny, przenikliwy deszczyk. Szliśmy dalej, już nietylko ziębnięci, ale przemoczeni do ostatniej nitki.

W ten sposób, nie wiem kiedy i jak, dowlekliśmy się do jakiejś wsi, której nazwy nie pamiętam. Była to jednak wieś spora, licząca dobrych trzydzieści domów. Gdy oddział wszedł w jej długą ulicę, w oknach tu i owdzie ukazywały się twarze ludzkie, nikt jednak widocznie nie miał odwagi wyjść przed dom, było bowiem pusto przed nami, jak wymiótł. Dopiero, gdy czoło kolumny zrównało się z karczmą i po szeregach padła komenda „*priwal*“, a kapitan, uprzejmie witany aksamitną jarmułką przez miejscowego Icka, zniknął za drzwiami w towarzystwie dwóch poruczników, tu i owdzie przed chatami zaczęły się ukazywać zawsze śmielszej

natury baby, w chustkach na głowach, z rękami, skrzyżowanemi na podołkach i z jakiemś pełnem litości spojrzeniem patrzały nieśmiało ku nam.

Siedliśmy tymczasem na balach, leżących pod jedną ze stodół, której szczytowa ściana wychodziła na drogę i jęliśmy opatrywać, jak kto mógł i umiał, pokrwawione nogi.

Wkrótce otoczyła nas gromadka dzieci wiejskich. Milcząc, z założonemi w tył rękami, przestępując z nogi na nogę, przypatrywali nam się chłopcy i dziewuchy. Nagle, bez słowa, oddzieliła się od gromadki dziewczyna lat mniej więcej dwunastu i jak strzała, pobiegła ku chałupie. Po chwili wróciła, niosąc kilka łokci szarego, parcianego płótna i dzbanek czystej wody.

Podziękowaliśmy jej spojrzeniem raczej, niż mową, i dalej opatrywaliśmy rany.

Tymczasem otaczające nas koło niepostrzeżenie zaczęło się zwiększać.

Wypełzały z chat baby i zbliżały się ku nam, kryjąc pod fartuchami zawiniątka.

Jednocześnie zjawili się także mężczyźni. Jakiś stary, dorodny gospodarz, drapiąc się w głowę i patrząc ukradkiem w stronę stojącej w kozłach broni jegrów, zaczął z nami przyciszoną rozmowę. Padały jedne za drugiemi smutne słowa, słowa, które się pamięta na całe życie, które w owej wsi opowiadają sobie może do dzisiaj jeszcze wnuki tych, co ów szary, słotny dzień zapamiętali...

Natura dopominała się jednak przedewszystkiem o swoje prawa. To też podczas tej rozmowy garnki z mlekiem przechodziły z pod fartuchów babskich do naszych rąk i chciwie gasiliśmy pragnienie i głód, zagryzając czarnym chlebem łzy, napływające do oczu i ściskające za gardło skurczem głuchej rozpaczy.

W chwili, gdy wzruszony, chciałem uścisnąć rękę kilku najbliżej stojących gospodarzy, odezwał się znów suchy łoskot bębna. Jegrzy chwycili za broń.

— Jakże to tak pójdą, niebożątka, szepnęła szczerym snać żalem przejęta, jedna z bab, na widok naszej przemokłej bielizny i okaleczonych nóg. Ku Olkuszowi jeszcze dobra mila i na nic zziębną.

Zastanowili się gospodarze i spojrzeli po sobie. Potem wzrok ich zatrzymał się na nas, na naszej sromotnej półnagości i zbiedzonych twarzach, potem znów po własnych przebiegli kożuchach oczami, w których malowała się chęć odruchowego czynu.

I nagle jeden z nich zdjął z ramion swój kożuch i lekko narzucił go na moją mokrą koszulę.

Uczułem błogie, obejmujące mnie ciepło. W tym samym momencie dwunastu innych chłopów uczyniło to samo i oto wszyscy mieliśmy na sobie kożuchy — nędzarze, okryci ręką litościwych chłopów polskich po bezlitośnej grabieży nocnej...

— Jakże to będzie? zapytałem z kolei, czując w sercu głęboką wdzięczność, ale uważając jednocześnie, że tej ofiary przyjąć nie mogę.

— A będzie, odparł rzeźki parobek w krakowskiej sukmanie, przepasany dźwięczącym, kółeczkami nabijanym pasem. Pódziewa z wami ku Olkuszowi, a przed więzieniem, bo miarkujemy, że tam ostaniecie dłużej, kożuchy zabierzemy, to i wrócimy na połednie do chałup...

— A pozwolą na to?

— Coby nie mieli pozwolić. Pozwolą.

I pozwolili. Kapitan machnął ręką, gdy mu zameldowano o tem. Widocznie, pod wpływem kilku nowych kieliszków, obudziły się w nim uczucia, których przed tem nie miał, lub do serca rozmyślnie nie dopuścił.

Pod takt bębna, warczącego wśród rozmiękłych pól, szliśmy jeszcze dobrą godzinę. Nasza trzynastka w otoczeniu jegrów — z gęstą szczeciną bagnetów przed oczami i z całą ich ścianą poza plecyma, a bokiem drogi, ścieżyną wijącą się przy szosie, trzynastu chłopów, rosłych jak buki, krzepkich jak dęby, towarzyszących nam z własnej woli, z woli tego polskiego serca, które w nich biło uczuciem szlachetnego współczucia.

Tak doprowadzili nas do samego Olkusza i pożegnali dopiero przed bramą więzienia w rynku. Zostali tam z kożuchami i z nadzieją na j u t r o, które do nich należy, mimo szarych, słotnych dni teraźniejszości, pochłaniającej nasze rozbite, stracone w c z o r a j.

Z. Dębicki.

Kilka uwag o organizacyi ogólno-narodowej.

II.

Oddawszy poprzedni artykuł do druku jeszcze przed tak zwanem „objawieniem się" woli społeczeństwa na kilku czy kilkunastu zgromadzeniach obywatelskich, w sprawie Rady narodowej zwołanych, — oczekiwałem, że uchwały tamże powzięte wykażą może błędność mych wniosków, opartych na własnych spostrzeżeniach zebranych wśród różnych sfer tej olbrzymiej większości społeczeństwa, która nie należąc do żadnego ze stronnictw, nie mniej przeto troszczy się o przyszłość narodową. Tymczasem znalazły one pośrednie potwierdzenie.

Na to, że Rada narodowa, jako naczelna p o n a d partyjna władza moralna jest potrzebną, godzą się wszystkie polskie stronnictwa bez wyjątku, jak również na to, że ma ona być żywem sumieniem narodowem.

Ażeby tak być mogło, to Rada narodowa powinna pozostać jak najdalej od wyborów, które zniepraw`iając obyczaje i stanowiąc jątrzący, a rozluźniający karność narodową czynnik, osłabiają tem samem moralną powagę takiej instytucyi.

Jednakże co innego głoszą ideowi menerzy stronnictw, a całkiem inaczej wyglądają rezolucye, uchwalone na zgromadzeniach.

A jeszcze inaczej wyglądać będzie praktyczne wykonanie owych rezolucyi.

I tak n. p. stronnictwo narodowo-demokratyczne uchwaliło na swoich zebraniach rezolucyę, która poza ogólnem określeniem Rady narodowej, na które każdy Polak bezwarunkowo się pisze — w dalszym ciągu postanawia:

a) Celem Rady Narodowej jest w ogóle obrona zagrożonych interesów narodowych, a n i e t y l k o k i e r o w a n i e w y b o r a m i;

b) Rada narodowa jest e m a n a c y ą c a ł e g o narodu, a nie tylko kół poselskich i stronnictw,— przynajmniej w połowie składa się z bezpośrednich przedstawicieli opinii narodowej, wybieranych na obywatelskich zgromadzeniach powiatowych, o d z w i e r c i e d l a j ą c y c h o s t a t n i s t a n, uznającej solidarność Koła o p i n i i p o l s k i e j.

Ani na chwilę nie chcę przypuszczać żadnego ukrytego partyjnego celu w tej rezolucyi, jednakże ma ona swoje słabe strony, psujące ponętny efekt całości.

Jej brzmienie musi w każdym bezstronnym umyśle krytycznym wzbudzić przekonanie, że w ten sposób wybrana Rada narodowa nie będzie nigdy istotną „emanacyą całego narodu" i że nigdy nie będzie neutralnym, od wpływów partyjnych niezależnym, terenem kierownictwa polityką i całokształtem pracy ogólno-narodowej.

Przedewszystkiem rezolucya nie wyklucza z agend Rady narodowej „kierowania wyborami".

Tak stawiając kwestyę, jasnem się staje, że mimo wszelkie deklamacye o p o n a d p a r t y j n y m charakterze Rady narodowej — zdobycie w niej przeważających wpływów musi być zupełnie usprawiedliwionem dążeniem każdego stronnictwa.

Jeżeli Rada narodowa ma być rzeczywistem „sumieniem" narodowem, nie zaś, jak dotąd centralnym komitetem wyborczym — to ów m o m e n t w y b o r c z y m u s i b y ć b e z w a r u n k o w o z n i e j u s u n i ę t y — inaczej Rada narodowa rozminęłaby się ze swym zasadniczym ideowym celem.

Ale pójdźmy dalej!

Połowa Rady narodowej, wybrana na „powiatowych" zgromadzeniach, ma być „odzwierciedleniem ostatniego stanu opinii polskiej". Co to znaczy?

Oto moment polityczny — a jaśniej mówiąc partyjny — znów będzie decydować

„Ostatni stan opinii" będzie się przecież wciąż zmieniał. Jeżeliby dziś posiadało n. p. stronnictwo

---

Konopnickiej: „Pan Balcer w Brazylii".

(Dokończenie).

Taką jest osnowa powieści Konopnickiej. Nie pan Balcer w niej bohaterem ani też żadna inna z tej tułaczej gromady postać. Nie! Ci wszyscy ludzie razem wzięci, to małe mrowisko człowieczych nieszczęśników, ci Kurpie i Mazury, Żmudzini i Wielkopolanie, ta biedna emigrująca gromada — to jest bohater poematu, losy zaś tych wędrowników — tego bohatera życie i dola! I jeśliby chodziło o jakoweś charakteryzujące całość nazwanie, zatytułować by powyższe rapsody można: *„Ana — i Katabasis* polskiego chłopa"...

Ojczyznę rodzoną on rzuca, przez morze się przedziera, w puszcze i pustynie nieznane dąży — a wszystko to dla szczęścia, dla dobytku czyni! Jednak nie zwyciężył — szczęścia za morzem nie znalazł! Więc bity przez wrogi rozliczne, przez chłody i głody, przez żmije kąsany, a słońcem palony, powraca z utęsknieniem w rodzinne zagony, a wraca zdziesiątkowany, zgnębiony, do trupa podobny!

A taką była wędrówka Greków, gdy pod wodzą Cyrusa szli w kraj Azyi Mniejszej, taka podobno ich dola, taki powrót nędzny i bolesna tęsknota za ojczystą Akropolis. Szli greccy rycerze po szczęście i wieniec laurowy, szła chłopska gromada po chleb i uśmiech słoneczny. Jedni i drudzy celu na obcej nie osiągnęli ziemi!

Wędrówka obu tych gromad — to treść i osnowa pamiętników tak Ksenofonta, jako też naszego Balcera. Ona sama jednak nie wystarczyłaby na opowieść zupełną, piękną i zajmującą, nie dałaby wizerunku ludzi, nie odkryłaby ich duszy, ich najtajniejszych myśli i uczuć. Więc też urozmaicić ją trzeba! ożywić dziesiątkiem wypadków i czynów, aby wszystkie łącznie złożyły się na obraz jasny, przejrzysty i wielki, bo historyczny!

Tak uczynił Ksenofont, to samo robi, opowiadając, pan Balcer. Epizodów też w poemacie Konopnickiej mnóstwo, a wszystkie barwne, wszystkie charakterystyczne i potrzebne.

Trudno omawiać je kolejno, takie ich mnóstwo, przypatrzmy się najważniejszym przynajmniej! Wśród nich naczelne miejsce zajmują te, gdzie dokładnie odzwierciedla się dusza emigrujących chłopów. Cechy tej duszy proste i niezawiłe jej rysy — wryte atoli głęboko, widne zdaleka — pominąć ich nie można, z tą chwilą bowiem miast wizerunku prawdy, fałsz byśmy mieli przed sobą...

Więc najpierw cechy dodatnie — a pośród nich na przedzie błyszczy wiara ognista i umiłowanie ziemi! Przywiązanie ludu wiejskiego do kościoła i religii podkreśla Konopnicka często, a świetnie w słowach najczulszej rzewności. Jej emigrancka gromada jedzie z modlitwą na ustach, na widok pierwszej gwiazdy nad morzem wiszącej pada na kolana i śpiewa w przestrzenie idącą pieśń: „Gwiazdo morza, któraś mlekiem Pana swego karmiła". Podczas żeglugi głównie o tem rozprawia, czy katolickiego księdza mieć będzie, czy ich powita kardynał w porcie na obcej ziemicy... Niech tylko pośród tych wędrowników niemowlę się narodzi, zaraz mu chrzest wyprawią święty, a jeśli kto zamrze na wieki, krzyż twardy nad grobem mu ciosz. W smutnym powrocie do kraju przez puszczę i pustynie modlitwa ich tylko podtrzymuje, co więcej, w powietrzu — zda się — dzwony kościelne słyszą, na chmurach Matkę Częstochowską widzą.

Wiara tego ludu nie filozofuje, nie wątpi, ona jest z nim zrosła od dziada pradziada, weszła mu w krew, w kość, weszła nawet w zwyczaj. Ten rys ostatni również nie uszedł uwagi znakomitej poetki. Jeden z brazylijskich tułaczy, gdy po miesiącach krwawego konania dorwał się u braci w porcie „prawdziwego" chleba,

> To, uczyniwszy przez bochen k r z y ż ś w i ę t y
> Stateczną k'sobie odwalał jął skibę,
> Pruszący łzami na nią. Tak był zjęty
> Tą rzewliwością, co kiedy sadybę
> Rodzoną spomni, to za s a k r a m e n t y
> Ma sobie każdą rzecz, i jak przez szybę
> Miesięczną patrzy choć na żerdź u płota,
> I wszystko jej się w łez srebrze migota.
> . . . .

A ci, co nigdy „polskiej" nie oglądali procesyi, co na katolickiego księdza jak wilcy po jamach czekają, co nie zasłyszą śpiewu serdecznej kolędy, ci, najbiedniejsi z biednych Unici!! Ich przywiązanie do wiary silniejsze jeszcze, niż u drugich! Nawet wtedy, gdy chodzi o ich szczęście ziemskie, o parcelacye gruntów, o zarobek, o sprawę bytu i istnienia, oni nawet wtedy myślą o wierze, o kościele:

> Ale nadbużny naród nasz, unity,
> W śniadościach długiej męki miawszy twarze,
> Tą siwą wełną, jak owca nakryty,
> Długo stał niemy w okrutnym tym gwarze,
> W stół komisarski trzymając wzrok wbity.
> Aż wyszły z kupy dwa szczere Łazarze

dem. narodowe przewagę umiejętnie zorganizowanej opinii w licznych powiatach — a tem samem otrzymałoby przez wybranych delegatów przeważający wpływ w Radzie narodowej — to już przy najbliższych wyborach może się ten wpływ zmienić na korzyść innego jakiegoś stronnictwa, które tymczasem porośnie w siły.

Wszak żadne stronnictwo nigdy nie może liczyć na trwały rozrost. Dziś stojąc u szczytu władzy politycznej — jutro już przestaje istnieć.

Z tem trzeba się pogodzić, jak również i z tem, że jest dobrem prawem każdego stronnictwa walczyć z innemi, dla swojego programu jednać zwolenników i przeprowadzać organizacyę w kraju.

Ale nie wolno społeczeństwu dopuszczać do tego, by te walki odbijały się szkodliwymi skutkami na Radzie narodowej.

Praca i zadania ogólno-narodowe Rady narodowej, która musi baczyć i czuwać nad całością i przyszłością nietylko w ciasnym zakresie chwilowych zadań — nie może się obniżać partyjnemi waśniami — ani być od wpływów jakiejkolwiek partyi zależną.

Ona musi być spokojną, trzeźwą, odznaczać się ciągłością i systematycznością.

Niejasne są inne projekty, zdążające również do tego, by Rada narodowa składała się w połowie z „przedstawicieli społeczeństwa". Inne znów bardzo słusznie żądają stanowczo, by Rada narodowa nie mieszała się do wyborów, dopuszczając jedynie rozjemcze pośrednictwo wyjątkowo w okręgach zagrożonych narodowo z powodu wadliwego podziału na okręgi wyborcze, z których wyszli syoniści.

Reasumując te wszystkie projekty przekonywamy się, że jakkolwiek wszystkie chcą widzieć w owej Radzie narodowej naczelną moralną władzę i kierowniczkę opinią społeczeństwa polskiego — to jednakowoż z nich każdy zmierza do tego, by z onej Rady uczynić jedynie p o n a d partyjną organizacyę dla celów ściśle politycznych.

Oczywiście takie ciało mogłoby i powinnoby wywierać pewien wpływ moralny na pracę ogólnonarodową na innych polach — ale z doświadczenia już możemy przyjąć, że wpływ ten będzie często iluzoryczny i że praca o znaczeniu szerszem, ogólnonarodowem, zbyt często będzie musiała schodzić na drugie miejsce w obec aktualnych spraw bieżącej polityki.

Wszak widzimy, że i najszczytniejsze hasła i cele programowe każdego stronnictwa politycznego bywają wykonywane przeważnie w „wolnych chwilach" od agitacyi przedwyborczej lub przysposabiającej grunt do przyszłych wyborów — a często służą te programowe hasła i zasady jedynie za wabik dla nowych zwolenników partyi.

Jeżeliby utworzona pod szczytnemi, pięknie brzmiącemi hasłami — tak bardzo w dzisiejszej ciężkiej dla nas chwili przez społeczeństwo polskie pożądana instytucya Rady narodowej — miała z idealnego stanowiska naczelnej władzy narodowej uczynić jeno parawan wygodny dla ukrytych machinacyi tej lub owej partyi, posiadającej chwilową przewagę w Radzie — toć zaprawdę szkoda tylu wspaniałych artykułów o niej pisanych i tylu przepięknych mów wygłoszonych.

Przypuśćmy jednakowoż, że moment wyborczy usunięty zostanie stanowczo z programu Rady narodowej — to nawet i wtedy jeszcze nie będzie ona wyrazem istotnej opinii całego narodu, jeżeli do jej składu wejdą delegaci wybrani na powiatowych zgromadzeniach. Słuszność tego twierdzenia już wyżej starałem się wykazać.

Według opinii publicznej, druga połowa Rady narodowej powinna wyjść nie z takich wyborów, lecz z wyborów z łona organizacyi społeczno-kulturalnych, jak: Towarzystwo pedagogiczne, Szkoły Ludowej, gospodarskie, Straży polskiej, Polskiej Ligi Narodowej, Kółek rolniczych i t. p.

Reprezentanci polityczni Sejmu i Rady państwa łącznie z takimi reprezentantami społeczeństwa mogliby naprawdę stać się regulatorem życia i pracy Rady narodowej.

W ten sposób stworzylibyśmy moralną władzę naczelną — która kierowałaby całokształtem rozwoju: kultury i ekonomicznej samoobrony narodu — a również mogłaby udzielać ogólnych wskazań i rad w dziedzinie polityki nietylko krajowej. Mogłaby bowiem moralnie oddziaływać i kierować polityką narodową na wszystkich ziemiach polskich.

Szerzej się nad tą sprawą rozwodzić nie tu miejsce.

Z naciskiem jednak powtarzam ponownie, że to jeszcze nie byłaby organizacya c a ł e g o społeczeństwa — lecz tylko organizacya ponadpartyjna dla spraw głównie politycznych — jakkolwiek kierowałaby i innemi pracami narodowemi.

Lecz sam frazes „kierownictwa" — nie wystarcza.

Trzeba stworzyć obok Rady narodowej szeroką i silną organizacyę p o z a partyjną, organizacyę p r a c y narodowej. Organizacya taka rozwinąwszy się należycie i wszechstronnie — z wyjątkiem dziedziny politycznej, która powinna pozostać w ręku stronnictw politycznych — dałaby moralne i materyalne podstawy Radzie narodowej w jej przyszłej działalności ogólno-narodowej.

Musimy raz już stanowczo wziąć rozbrat z fałszywem pojęciem, że organizacya pozapartyjna jest utopią. Stokroć większem złudzeniem jest wmawianie w społeczeństwo, że tylko organizacya partyjna odrodzi naród. (A mówią to poufnie tacy politycy, którzy *pro foro externo* nigdy nie szczędzą frazesów o organizacyi ogólno-narodowej). Nie łudźmy się i nie mięszajmy pojęć. Organizacya pracy ogólno narodowej nie może być zależną od walk stronnictw politycznych, mających swoje specyalne polityczne zadania, którym się powinny niepodzielnie oddawać i które wymagają specyalnych zdolności i wykształcenia politycznego. Poddanie pracy kulturalnej i ekonomicznej ogólno-narodowej zmiennym fluktuacyom partyjnym nie przyczyniłoby się do szybkiego i trwałego odrodzenia narodowego — a raczej wstrzymywałoby, a nawet cofało je wstecz.

Do takiej pracy powinni stworzyć zespół jednolity i trwały wszyscy obywatele i obywatelki ze wszystkich obozów. Stąd poszłaby siła moralna i materyalna, która pod naczelnem kierownictwem Rady narodowej zastąpiłaby naszemu rozdartemu narodowi choć w części ideę państwowości.

Gdybyśmy tylko n. p. kwestyę materyalną wzięli pod uwagę — to przyznać musimy, że inna rzecz jest nawoływać i moralnie przymuszać jednostki i instytucye do opodatkowania się na cele ogólno-narodowe, będące pod jawną kontrolą całego społeczeństwa na podstawie legalizowanych postanowień statutowych — a zupełnie co innego żądać poparcia finansowego na cele wyborcze od zwolenników danego stronnictwa politycznego.

Tak się zapatrując na sprawę pozapartyjnej organizacyi pracy narodowej, mającej tworzyć nietylko uzupełnienie, ale także podstawę działalności Rady narodowej, uznać musimy, że do tego celu nie mogą się nadawać ani stowarzyszenia, założone dla specyalnych zadań, jak np. T. S. L. i t. p. ani tem mniej t. zw. bezpartyjne organizacye narodowe, lub powiatowe, które dla celów głównie wyborczych powstały, jakkolwiek obok tego również i wiele innych zadań społeczno narodowych chlubnie spełniają.

Rada narodowa, odrodzona powinna się oprzeć w kraju na organizacyach statutowych, legalnych i istotnie pozapartyjnych, które same z wewnętrznego poczucia społeczeństwa powstały dla celów samoobrony narodowej w duchu wyżej wskazanym.

Kadry takiej organizacyi powstały już w kraju dzięki inicyatywie i pracy „Straży Polskiej" w Krakowie i „Polskiej Ligi Narodowej" we Lwowie.

Gdyby te Towarzystwa zostały uznane przez Radę Narodową (w jakiejkolwiek ona formie obecnie się narodzi) za pomocnicze organa p r a c y ogólno-narodowej, to niewątpliwie w krótkim czasie moglibyśmy o sobie powiedzieć, że tworzymy moc, która poprowadzi nas ku odrodzeniu.

Lecz wtedy musiałyby się złączyć obydwa te towarzystwa w jednolitą całość organiczną. I ten przykład stałby się rychło bodźcem dla innych pokrewnych organizacyi narodowych do łączenia się z nimi przez odrzucenie momentu wyborczego ze swych programów.

Organizacyę polityczną pozostawiając stronnictwom, stworzylibyśmy raz na zawsze to, co się nazywa organizacyą pozapartyjną pracy narodowej,

---

I rzeką: Dajcie nas, wielmożne Pany
Tam, gdzie ze Rzymu jest słychać organy,

Jako nam było przyobiecowane.
Duchci w narodzie łaknący jest, chory ..
Szkaplerze chcemy nosić poświęcane,
I pieśnie śpiewać, jak za dawnej pory.
Dziatki mieć chcemy chrzczone i chowane
Po polsku. Chcemy w kościoły, w klasztory...
Suplikacyi chcemy, litanii
Do przenajświętszej panienki Maryi!
. . . .

Równorzędnie niejako z tem przywiązaniem do religii ojców biegnie przywiązanie do ziemi i to — dodawać nie potrzeba — ziemi ornej! Nim do Brazylii przyjechali, głównym tematem ich rozmów była sprawa dobroci i jakości obiecanej ziemi. Ten marzył o polu takiem, na którem udałoby się żyto, ten chciał orki pod ziemniaki, inny pod pszenicę i proso. Głucha też rozpacz obsiadła ich serca, kiedy spostrzegli, że na danych im polach niczego sadzić i siać nie można, gdyż nawet pług by się tej ziemi imać nie zechciał...

Z tem przywiązaniem do ornego zagonu w parze idzie tradycya zwyczaji i obyczaji, świetnie dostosowana, do różnych plemion i okolic. Chłop na przykład z pod Pińska pochodzący, nad stawiskiem chatę sobie buduje, szuwar na wodzie ścina, żółwie z mętów wyławia! Inny znów, w kolonii bogatej osiadły, choć ma murowany dom i dach blachą obity, przecież mimo to, pokrywa go... słomą.

— Ba, Chrząst! Bez żyta Chrząst wyżyć nie może.
A choć dach blachą pobity na doma,
Gada, co żytnia potrzebna mu słoma.
A na to Skwara: — Inszy już tak będzie...
Jak odrzewnieje, tak rozum zeskali,
Ze choć gdzieniebądź z żywotem usiędzie
Na nowem prawie, to stare pcha dalej.
Zarówno mu tam, co rośnie na grzędzie
Samo ze siebie. Wszyściuśko wnet zwali,
I oną rolę przygwałca to rodzić.
Za czem nawyknął za pierwszych lat chodzić.

Chłop w „Balcerze" Konopnickiej jest prawdziwy. I to największa zasługa poematu i autorki, tem większa, że Konopnicka dotąd (zwłaszcza w lirykach) tego chłopa nie rzadko zbyt idealizowała, zbyt jednostronnie oświetlała. Tu, w tej powieści, ta emigrancka gromada jest taką, jaką jest! Ma zalety, ale ma też i wady. Wad nawet posiada sporo, a z tych najważniejsze brak karności, pieniactwo i zawadyactwo z nadużywaniem alkoholu silnie połączone. To są wady, za które ci ludzie odpowiadają i które im niejednokrotnie przynoszą nieszczęścia. Brak karności powodem, że przy podziale gruntów nie zostali wszyscy razem, lecz jedni poszli na lewo, gdy drudzy na prawo, pieniactwo powodem, że kilku z gromady tej zdolniejszych i oświeceńszych oderwało się od reszty i poszło do obcych miast prawować się o dokumenta, szlachectwa ich rodzin wykazujące. Zawadyactwo powodem rozlicznych kłótni, sporów i bijatyk...

Ujemne te strony, bystro podpatrzone, przedstawiła autorka sumiennie, zgodnie z prawdą. I uczyniła dobrze! Dzięki tym tu i ówdzie nakreślonym o ujemnych rysach epizodom zyskała tylko na plastyce i wyrazie całość, zyskało wrażenie, jakie z czytania tej całości się odbiera. Ujemne cechy bohaterów nie tylko nie obniżają naszej dla nich sympatyi, lecz przeciwnie, potęgują ją, tak, jak potęgują w „Panu Tadeuszu", trylogii, lub „Chłopach" Reymonta. Czytelnik bowiem widzi, że ma do czynienia z ludźmi i prawdą, a nie sztuczną apoteozą...

Wiele, wiele by pisać o emigranckiej gromadzie i o poemacie całym. Ludzi w nim występuje wiele, a wszyscy, choć o wspólnej duszy, przecież różnią się pomiędzy sobą znacznie. Indywidualność w nich wielka i oto mamy nowy dowód artyzmu poetki. Z mrowia tych wędrowników zaciekawia nas każdy, bo każdy ma w sobie coś, czego nie ma drugi, coś, czem jest przedewszystkiem ciekawy i zajmujący... Począwszy od postaci (nazwijmy je tak) naczelnych, jak Balcer lub Sekura, skończywszy na biednym Jaśku lub tym, nieznanym, po którym list bolesny pozostał, — wszystkie te jednostki żywe są, barwne, z jednego kute kamienia!!

Mistrzowstwo tu wielkie, talentu epickiego moc! A nie tylko w kreśleniu ludzi okazała się Konopnicka mistrzynią! Ten sam talent widzimy w malowaniu przyrody, w opisywaniu czynów (w ich plastyce,..). Właściwie wspominać o tem nie trzeba wcale, Konopnicka bowiem jako malarka krajobrazów d z i s i a j w poezyi równych sobie u nas — prawie niema!

Opisy przyrody w „Balcerze" są świetne, głównie dzięki kolorytowi, jaki im autorka dała, kolorytowi krajów gorących, południowych. Zestawienie zaś tamtych stron z naszemi podnosi tylko

która jest tak bardzo konieczną dla naszej przyszłości, a była dotychczas niedoścignionym ideałem wszystkich patryotów.

Jeżeli mogli Czesi stworzyć jeszcze przed 6. laty taką Radę Narodową i dziś już obejmują całokształt pracy i samoobrony narodowej, nietylko w kraju ale i po świecie, przez specyalne delegacye — to czyż my tylko jedni mamy być wciąż połowiczni i niezdecydowani. Każda chwila wahania — to cofanie.

Obyśmy tylko chcieli chcieć!

Bogdan Krzysztofowicz.

Bank przemysłowy.

(Refleksye).

A więc stało się!

W dniu 11. lutego 1910 uchwalił Sejm projekt Wydziału krajowego, moca którego powstanie w Galicyi Bank przemysłowy prey współudziale kapitałów niemieckich dolno-austryackiego Towarzystwa eskontowego.

Nie czas już i nie miejsce dziś powtarzać to wszystko, co o banku przemysłowym pisały „za“ i „przeciw“ dzienniki krajowe i obce. Lecz rzucić koniecznie trzeba ogólny szkic na sprawę, która przez uchwałę sejmową przechodzi ze sfery projektów w żywy czyn, mający zadecydować o naszem odrodzeniu (!?).

„Straż Polska“ wypowiedziała w styczniowym numerze krótko lecz dobitnie swe zapatrywanie na tę doniosłą sprawę.

Pp. Badeni, Leo, Bataglia, Dattner i Benis byli banku niańkami — a w świat, przed forum sejmowe wywiedli go z należytym patosem i patryotyczną emfazą pp. Jahl, Zamojski, Loewenstein i Rutowski. Przypieczętował sprawę ks. Lubomirski.

Potomkowie hetmanów i nie-hetmanów widocznie nie zrozumieli znaczenia sprawy i chwili.

. . . .

Za to wraz z nami odczuła ważność momentu wielka część uświadomionego — szarego społeczeństwa. Poruszyła się w ostatniej chwili zaskoczona i nieprzygotowana opinia publiczna. Odezwał się odruchowy głośny protest i nie przebrzmiał bez skutku, choć go zewsząd tłumili wieczyści gasiciele ducha. Większa część dzienników o tym zdrowym, chwalebnym ruchu milczała.. przebłagana. Inne, które stanęły w jego obronie napiętnowano interesem „partyjnym“. Tak, partyjnym — bo to wywołuje przewidziany skutek i w ten sposób najskuteczniej można zelżyć i zohydzić najszlachetniejszą myśl, najszczytniejsze cele.

. . . .

A to jednak nie była szopka partyjna!

Dowodem bezpartyjności były wiece w ostatniej chwili zwoływane.

W Stanisławowie zwołał 23. stycznia wiec publiczny dyr. Celestyn Laskowski prezes bezpartyjnej Organizacyi narodowej — sam człowiek znany z niezależności przekonań i nienależący do żadnego stronnictwa politycznego. Ludzie różnych przekonań uchwalili jednomyślny protest i rozpoczęli dobrowolną subskrypcyę akcyjną.

We Lwowie odbyło się bardzo liczne zebranie obywatelskie zwołane wspólnie przez Towarzystwa takie, jak „Organizacya bojkotu towarów pruskich“ — „Okręgowe Organizacye narodowe“ — „Związek samoistnych kupców i rękodzielników“ i „Polska Liga Narodowa“.

Znany już z dzienników przebieg tego prawdziwie obywatelskiego zgromadzenia, które uchwaliło również energiczny protest przeciw dobrowolnemu oddawaniu się pod komendę kapitałów niemieckich i zawotowało akcyę subskrypcyjną — pragniemy jeszcze ku pamięci tego ważnego odruchu narodowego uzupełnić bodaj krótkiem streszczeniem długiej a płomiennej mowy reprezentanta „Polskiej Ligi Narodowej“, a zarazem delegata „Straży Polskiej“ p. Bogdana Krzysztofowicza.

W imieniu tych ogólno-narodowych Towarzystw zaznaczył mówca konieczną potrzebę utworzenia jednolitej organizacyi wszystkich Polaków. Sprawa Banku przemysłowego jaskrawo ilustruje tę potrzebę. Gdyby podobna organizacya w duchu Straży i Ligi już objęła cały kraj — to nie poważyłyby się nigdy czynniki w kraju rządzące, poza plecami społeczeństwa przeprowadzać taki „interes narodowy“. Bo jeszcze w ostatniej chwili sprawna organizacya mogłaby zapalić wici wiecowe po całym kraju. A wtedy i Sejmici, co przywykli rządzić krajem, jakgdyby własnym folwarkiem, musieliby uszanować silnie wyrażoną wolę narodu.

Pominięcie społeczeństwa w tak ważnej sprawie tłumaczy mówca brakiem etyki społeczno-narodowej.

Przytoczywszy opinię „Straży“, wypowiedzianą w styczniowym numerze i skrytykowawszy dosadnie a przekonywująco wszelkie kompromisy z tymi, którzy nigdy nie byli i nigdy nie będą przyjaciółmi naszego odrodzenia — udowodniwszy, że mamy i kapitały własne i ludzi własnych. zakończył mówca wśród burzy oklasków apelem gorącym do wspólnej pracy i do subskrypcyi.

„Niech społeczeństwo — mówił — samo odpowie, czy chce kłaść swój kark dobrowolnie pod jarzmo niemieckie!

„Bezkarnie nie wolno igrać z duszą narodu i z jego przyszłością. Jeżeli nas stać było na Dar grunwaldzki — to dlaczego byśmy się nie mieli zdobyć na korzystny interes grunwaldzki?!

„A nawet chociażby naszych życzeń nie miano usłuchać — to i tak musimy spełnić nasz obowiązek protestu.

„Wszak to chwila historycznego znaczenia. Mamy dziś zdać egzamin dojrzałości narodowej.

„Obym był złym prorokiem, ale obawiam się, że jeśli dziś oddamy się w niewolę kapitału niemieckiego — to za lat pięćset będą resztki Polski, ginącej w kajdanach niemieckich, tak przeklinać nasze pokolenie — jak my dziś sławimy pamięć naszych przodków, którzy złamali przed 500 laty nawałę germańską pod Grunwaldem!!“

. . . .

Komitet subskrypcyjny wydał odezwę do społeczeństwa — odezwę gorącą — lecz tylko niektóre pisma ją zamieściły w swych łamach.

Odezwę tę podpisali w imieniu komitetu pp. prof. uniw dr. Balasits, Biechoński Wojciech, Drewnowski Ignacy, Garczyński Franciszek, Krobicki Leon, prof. politech Hauswald Edwin, prof. uniw. dr. Kadyi Henryk, Misiągiewicz Aleksander, Szczepanowski Stanisław, Krzysztofowicz Bogdan i prof. uniw. dr. Ludwik Rydygier.

. . . .

Zacne usiłowania namiętnie paraliżowano — mimo to nie były całkiem bezskuteczne. Pod wpływem opinii publicznej zmniejszono złe warunki układu już niemal przypieczętowanego — na trochę mniej złe.

A mogło się obejść bez jakiegokolwiek układu

Była taka chwila... nadziei. To także skutek odruchu społeczeństwa — a nie zasługa jednostek.

Ale chwila minęła bezpowrotnie, pozostawiając żal i rozczarowanie. Książe Andrzej Lubomirski jeszcze 6. lutego zapowiadał głośno, że nie dopuści do współudziału kapitałów niemieckich — groził, że w pełnej Izbie napiętnuje zakulisowe... pertraktacye. Lecz już nazajutrz nagle zmienił zapatrywania — a w Sejmie, jako skruszony winowajca wysławiał zalety projektu. A gotów on sobie nawet za chlubę i zasługę poczytać, że nie 5 lecz już tylko 3 miliony dadzą Niemcy!

Nie mamy zamiaru nikogo posądzać o złą wolę — ale podnieść musimy to niezrozumienie sprawy — którą przyszłość niedługa jeszcze dokładniej oceni.

Wszak stokroć większą byłaby zasługa i chwała, gdyby był ks Lubomirski stanął ze swojemi 2-ma mil. na czele akcyi społeczeństwa polskiego! Wtedy inną by była uchwała Sejmu!

. . . .

Jeszcze charakterystyczne obrazki z obrad sejmowych. Jeden z posłów we wspaniałej mowie sławił ten „interes“ jako narodowy i patryotyczny i groził Izbie — jak niegrzecznym dzieciom — by

---

barwę i plastykę obrazu. Oto dla przykładu opis nocy (w skróceniu oczywiście):

Dopieroż pod noc budzą się muzyki
Zaczarowanej w tym stepie kapeli.
Dopieroż brzęczą te złote gęśliki,
Co je z drzew rajskich strugają anieli,
Dopieroż gwizdy, trzepoty, pokrzyki,
Furczenie, jakby srebrzystej kądzieli,
Cykania, klaski, poświsty, podmuchy...
Stronami ciężki łomot i ryk głuchy.

Bo tam noc nie jest, jako u nas, rzewna
I pełna łaski na duszną tęsknicę,
Kiedy to leda fujarka ci z drewna
Łzami urosi spalone źrenice...
Nie jest ni cicha taka, ni tak śpiewna,
Ni zadumane nad ziemią ma lice,
Leci jako wiedźma lecąca na miotle,
Kipiący wrzątek życia miesza w kotle.

. . . .

* * *

Oto krótkie sprawozdanie, a raczej podzielenie się z czytelnikami wrażeniem, jakie odebraliśmy, rozczytując się w tej pięknej polskiej epopei.

Epopeą bowiem nazywamy powyższy poemat, epopeą godną stanąć obok cudownego „Pana Tadeusza“, przepięknej trylogii, znakomitych „Chłopów“... A tak, jak „Pan Tadeusz“, jak Sienkiewiczowska Trylogia pisały się ku pokrzepieniu znękanych serc, podniesieniu wiary w przyszłość, w lepszą dolę, tak też — sądzimy — powstał „Pan Balcer w Brazylii“. Bolesne wprawdzie jego losy i dzieje, smutek bezbrzeżny wieje z tego opowiadania, przecież na dnie tego smutku drga radosna nuta życia i wesela. Czuje się bowiem, przerzucając strony powyższego poematu i widzi wybornie, że nie zginęła i zginąć nie może Ta, za którą tęsknią nawet ci najmniej „narodowo“ uświadomieni... Nie może zginąć ona biedna Ojczyzna nasza, jeśli ma w sobie tę moc i siłę, że na jej głos z odległych stron powraca do niej każdy, kto na niej wyrósł, a od niej niebacznie się oddalił!! Nie może zginąć, jeśli posiada miliony ludu wrosłego w jej zagon wszystkiemi korzeniami, wszystkiemi porami...

* * *

„Pan Balcer w Brazylii“ posiada wartość nie tylko jako dzieło skończone, artystyczne, pełne niepospolitych piękności, czaru i życia; jego wartość tkwi głównie i przedewszystkiem w najgłębszem uczuciu narodowem, jakiem przejęty i sam poemat i jego twórczyni..

Dziwne bowiem czasy widzieliśmy w ostatnich dniach tworzenia naszych poetów... Po hasłach romantyzmu, a raczej najgłośniejszych wołaniach i śpiewach o Ojczyźnie naszej — innym zgoła, zupełnie innym dźwiękiem ozwała się lutnia poetów, bezpośrednich potomków Ujejskich, Asnyków i t. p. Oto dzwonić ta lutnia poczęła pieśń (raczej piosenki) pełne dumy tylko i chwalby próżnej, własne „ja“ autorów sławiące... Oto po strunach tej anhellicznej gędźby przebiegać poczęły palce drżące nie z bólu i cierpienia za „miliony“, lecz z podniecenia i rozdrażnienia, wywołanego najbłahszym nieraz powodem, najobojętniejszą dla ogółu sprawą... Egotyzm i egoizm, własna pycha i nabrzmiałość, własne „ja“ i własne „nic“ poczęło przeważnie wypełniać drukujące się tomiki poezyi... Wyjątki były i są nieliczne... Pośród atoli tych wyjątków Konopnicka jedna nie skalała natchnienia ciasnem i małostkowem samolubstwem, nie obniżyła lotu ponad bagna upadku polskiej twórczości... Nie obniżyła tego lotu nigdy, a najwyżej poszybowała właśnie w „Balcerze“, pisanym krwią z serdecznego palca.

Zapewne, że przy ścisłym t. zw. naukowo-krytycznym rozbiorze, zarzucić by można całości te lub owe usterki (czasami zbytnią rozwlekłość opowiadania, niepotrzebną rozlewność wiersza i t. p), ale tak całość jakoteż pojedyncze rapsody stoją na niewidzianym obecnie u nas poziomie tak pod względem zawartości, idei, jakoteż treści i formy. „Balcerem“ prześcignęła Konopnicka znacznie niemal wszystkie ostatnie utwory polskich poetów...

Wdzięczność też dla niej płynie głęboka od społeczeństwa polskiego za ten piękny i wielki poemat, cześć największa za dzieło, uczące kochać własną ziemię, własną Ojczyznę... Tej ostatniej nie zastąpi nam na świecie nikt i nic, co zresztą pan Balcer tak mądrze wyłuszcza:

Oj, głupi naród i ja też z nim głupi,
Żeśmy swych w świecie szukali wolności!
Oj, źle ten przeda, i kiepsko ten kupi,
Kto się na cudze zamieniać jął włości!!

Antoni Euz. Balicki.

nie naraziła się Wiedniowi przez odrzucenie jego projektu.

Ten sam poseł w kuloarach izby jednemu ze zmartwionych wynikiem sprawy bankowej — rzuca z miną tryumfatora z ironicznym uśmiechem pytanie: „No i dużo tem zebraliście subskrypcyi?“.

Liryka, patryotyzm — i cynizm!

A p. Battaglia — który strasznie się trudził w Paryżu szukaniem kapitałów francuskich — jako „adwokat“ przemysłu — właśnie powołuje się w Izbie na rok grunwaldzki i zachęca Izbę do tego patryotycznego grunwaldzkiego czynu.

I stało się, jak chcieli wielcy patryoci.

Pragniemy wierzyć, że chcieli dobrze — oby przyszłość tej wierze nie zaprzeczyła!

. . . .

Niemcy się śmieją w kułak — a społeczeństwu pozostaje jedno doświadczenie więcej i nauka: „Zakasać rękawy do zdwojonej pracy i organizować się w jedno wspólne ognisko — by w przyszłości nie być więcej igraszką „kompromisów“ hańbiących“

Lwów 12. lutego.

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Syndykat rolniczy a fabryki krajowe.

Tow. Muzeum Przemysłowego w Rzeszowie przesłało nam następujące uwagi:

W ostatnich dniach pojawił się kwartalnik pod nazwą: „Syndykat rolniczy w Krakowie, Centralny organ handlowy Towarzystw kółek i spółek rolniczych, Stow. zarej. z ogran. poręką, przedtem Związek handlowy kółek rolniczych w Krakowie“.

Pismo to zawiadamia, że w następstwie porozumiewania się krakowskiego Tow. rolniczego z zarządem głównym Tow. kółek rolniczych i z krajowem biurem Patronatu z jednej, a Rad nadzorczych Syndykatu Tow. rolniczych i Związku handlowego kółek rolniczych z drugiej strony — postanowiono rozwiązać Syndykat Tow. rolniczych, a Związek handlowy kółek rolniczych przekształcić na wspólną centralną organizacyę handlową dla całego kraju.

Nowa organizacya jest instytucyą rolniczą i ma na celu obronę i popieranie interesów rolnictwa krajowego na polu handlu. Chodzi o to, żeby z jednej strony uzdrowić i uregulować opłakane stosunki naszego handlu rolniczego, z drugiej strony ułatwić i zabezpieczyć robotnikom całego kraju, tak wielkiej jak małej własności, możność nabywania potrzebnych środków produkcyi (nasion, nawozów, maszyn, narzędzi i t. d.) w dobrej i potrzebom ich gospodarstwa odpowiadającej jakości, po cenach przystępnych i odpowiadających rzeczywistej wartości, i w ten sposób uchronić ich od strat zawodów i rozczarowań, oraz pracę ich uczynić bardziej owocną. Stać się to może tylko w ten sposób, że w całym kraju powstanie sieć pośrednich organizacyi handlowych wyższego i niższego rzędu (okręgowych, powiatowych i lokalnych, które opierając się o swoją centralną instytucyę handlową i korzystając z jej stosunków, środków i doświadczenia, działać będą w myśl jednej myśli przewodniej i według wspólnego programu dla dobra i pożytku wszystkich rolników w obrębie ich działalności zamieszkałych.

Sam fakt zlania się potężnych instytucyi kraju rolniczego w jedną centralę, oraz wyśmienita organizacya handlowa, posiadająca rozgałęzienia po całym kraju, wciskająca się do każdego choćby najmniejszego sioła gdzie postęp cywilizacyjny zaczyna świtać w formie kółka rolniczego, wystarczyłyby naprzód do ugruntowania przekonania, że dla przemysłu krajowego powstaje nowa era, że fabryki maszyn rolniczych znajdą zbyt na swe towary i powinny myśleć o rozszerzeniu swych pracowni, będąc uwolnione przed zalewem obcej tandety i niesumiennej konkurencyi firm uprzywilejowanych. Lecz niestety zbyt uciążliwą i zamało intratną pracą wydawała się Syndykatowi opieka nad produkcyą krajową. Pomimo, że posiadamy w Galicyi kilkanaście fabryk wyrabiających maszyny rolnicze, a niektóre z nich mają wyrobioną tradycyę (niektórych wyrobów w wielu wypadkach nie wstydziły się naśladować firmy obce) i pomimo, że w kraju znajdują się modele wypróbowane przez zawodowych gospodarzy i przejmowane przez zagraniczne firmy, Syndykat nawiązał stosunki z firmami obcemi i wypowiedział walkę na śmierć i życie wszystkim wyrobom nienabytym u firm przez niego zastępowanych.

Związek fabryczny w ostatnich czasach zastanawiał się nad przyczyną upadku fabryk zajmujących się maszynami rolniczemi, a jedna z najgłówniejszych przyczyn tkwi w działalności Towarzystw rolniczych w duchu Syndykatu. Towarzystwa te zajmujące wybitne stanowisko w sferach rolniczych nadużywają reklamy dla obcych wyrobów, przynoszących sowite prowizye. Rozmaite autorytety w rolnictwie chętnie polecają i korzystnie oceniają wyroby uznane zagranicą, jest to bowiem wygodniejsze, mniej nużące, niż badanie maszyn krajowych, robienie prób i obliczeń. Taka taktyka nie może przynajmniej narazić na szwank powagi (!) uczonego rolnika.

Bije to zwłaszcza w oczy na wystawach krajowych, gdzie się nie studyuje przedmiotów, lecz tylko patrzy się na firmę, która je wykonała, a wyroby krajowe z zasady traktuje się bardzo protekcyonalnie. Szkoły rolnicze bez wyjątku nie posiadają żadnych maszyn krajowych, lecz same obce, a młodzież kształcąca się słyszy bez przerwy z ust siwych światłodawców, że dobrze orać można tylko pługiem Sacka, młócić maszyną Hofera lub Claytona, że ziarno jedynie zasiane siewnikiem Prochera wschodzi normalnie z ziemi. Wobec tego nic dziwnego, że ilu rocznie agronomów ukończy szkoły krajowe, tyle przemysł krajowy zyskuje przeciwników, a obce fabryki gorliwych agentów. Faktem dowiedzionym jest, że ci tylko rolnicy zamawiają maszyny w kraju, którzy kończyli studya za granicą.

Wobec takich stosunków panuje w rolnictwie niebywały chaos w dziedzinie maszyn rolniczych i gospodarczych. Nasze stolice, miasta i miasteczka obsadzone są zastępcami i agentami fabryk maszyn rolniczych z całego świata.

Nikt przy zakupnie niema wytycznych jaka maszyna byłaby dla niego odpowiednią. To, co uchodziło za najlepsze i co miało wywołać przewrót w rolnictwie, po roku oceniono za wprost nieużyteczne i niema w świecie kraju, gdzieby było tyle systemów i rodzai maszyn co w Galicyi.

W wielu folwarkach możnaby utworzyć bogate muzea maszyn, z których co najmniej 90% rdzewieje bezczynnie, jedne bowiem są za słabe, inne potrzebują zbyt wiele siły pociągowej, inne nie odpowiadają danej glebie, a są i takie, które po bliższem zbadaniu służą do roślin u nas nie uprawianych, inne wreszcie według twierdzenia właściciela wymagałyby do obsługi osobnego maszynisty; trafiają się i takie, nabyte za wysoką cenę, które całkiem nie pracowały, bo nie znalazł się nikt, ktoby je poprowadził. A wszystkie te maszyny były gorliwie polecone jużto przez Towarzystwo rolnicze, autorytety na polu rolnictwa lub reprezentantów, budzących wielkie zaufanie. W rezultacie używa się najczęściej najprymitywniejszych narzędzi.

Wobec tych wpływów i takich warunków nie dały się ustalić typy maszyn odpowiadających warunkom miejscowym, dostosowanych do gleby, siły pociągowej i personalu roboczego. Maszyny rolnicze ze względu, że muszą być lekko budowane, z natury rzeczy, nawet przy najlepszej konstrukcyi, ulegają szybkiemu zużyciu i przypadkowym uszkodzeniom. Niektóre przeciętnie co trzy lata wymagają gruntownej reparacyi. Można więc sobie wyobrazić jak utrudnioną i kosztowną jest naprawa maszyn i wymiana poszczególnych części, jeżeli każda z innej fabryki pochodzi, a są folwarki, gdzie na dziesięć maszyn, służących do jednego celu, niema dwóch jednego typu. Działalność więc Syndykatu i innych jemu podobnych towarzystw jest szkodliwą dla samego rolnictwa przez forsowanie najprzeróżniejszych obcych fabrykatów.

Niebezpieczeństwo dla produkcyi maszyn rolniczych ze strony tego rodzaju towarzystw jest tem groźniejsze, że przez różnorodne agendy rolnik stoi od nich w pewnej zależności, zwłaszcza od Syndykatu, który na wielką skalę prowadzi handel komisowy zboża, spirytusu, więc wielki właściciel przeważnie wobec słabego kredytu rolniczego i personalnego woli mieć do czynienia z instytucyą, która dostarczy mu towarów we wzajemnym rachunku, niż z wytwórcą, który po pewnym czasie upomina się o pieniądze. Syndykat nie zadawala się akcyą we wielkich gospodarstwach, lecz zabiera się i do małych rolników i przy końcu swego kwartalnika pisze: „W celu wyrugowania lichych partackich wyrobów, rozpowszechnianych i wpychanych włościanom przez ajentów i handlarzy żydowskich, zamierzamy przy Spółkach okręgowych i powiatowych urządzić składy komisowe tych narzędzi i maszyn włościańskich, które w danej okolicy są najwięcej używane i najchętniej kupowane“.

Syndykat więc, aby spełnić swoje zadanie, pomija fabryki krajowe, które pomimo tych licznych agentów potrafiły sobie zdobyć jakością swoich wyrobów prawo obywatelstwa w szerszych kołach włościan i robi układ z temi samemi fabrykami obcemi, które swoje partackie wyroby wpychają przez agentów i chcą nadużyć powagi i popularności kółek rolniczych do zasypywania kraju obcą tandetą.

To samo można powiedzieć o krajowych fabrykach superfosfatów, które zgubione zostały przez te same czynniki nie ze złej woli przypuszczamy, a tylko przez niezastanowienie się jakie skutki przyniesie puszczenie tego przemysłu w ręce obce, krajowi nieprzychylne.

Krajowe Towarzystwa rolnicze tak centralne jak okręgowe powinny były objąć prywatne fabryki superfosfatów na własność, a nie dopuszczać prusko-niemieckich karteli, jak to się stało z fabryką Juliana Wanga we Lwowie, która dziś w $^3/_4$ należy do kartelowców, stąd $^1/_4$ krajowych udziałowców w akcyach jest zdaną na łaskę lub niełaskę większości. Produkty surowe fabryk superfosfatów, tak krajowych jak i zagranicznych, w znacznej części pochodzą z naszego kraju. Tłómaczenie się, że krajowych kierowników niema, jest gołosłownem twierdzeniem. Politechnika lwowska i szkoła przemysłowa w Krakowie dostarczają odpowiedniej ich ilości, ale cóż kiedy w kraju nie mogąc znaleźć zajęcia i wyrobić się na dzielnych kierowników, zmuszeni są emigrować z Galicyi. W Królestwie i Rosyi (nie mówiąc o innych krajach) w każdej prawie fabryce wychowanków tych szkół znaleźć można; mają dobrą renomę, są poszukiwani, a przez to i zadowoleni mając odpowiednie utrzymanie.

Wszakże o zbyt superfosfatów, t. j. gotowych wyrobów, Towarzystwa rolnicze nie potrzebowałyby się troszczyć, gdyż zapewniliby go sami członkowie w tak dużym kraju rolniczym. Z góry nawet można było obliczyć zyski, jakie fabryki te krajowi i pominionym Towarzystwom bezwarunkowo przynieść musiały. Tak więc sami pracujemy na własną szkodę i wszelkie możliwe zyski oddajemy obcym.

Jeżeli pod tym względem gruntowna i zupełna zmiana nie nastąpi, nie mamy co myśleć o uprzemysłowieniu kraju, bo wszelkie wysiłki będą daremne.

Kto kraj miłuje i zastanowi się cokolwiek nad położeniem naszem, poszuka jego przyczyn, ten dojdzie do rezultatu jaki tutaj podajemy i musi przyznać nam słuszność.

Zastrzegamy się, że nie występujemy tutaj przeciwko komukolwiek z jakichkolwiek osobistych niechęci i względów. Miłujemy kraj, a widząc, że w nim źle, pragniemy koniecznie poprawy, by przyszłość lepszą mu zgotować.

Cieszylibyśmy się gdyby nam udowodniono, że to, cośmy podali, nie jest słusznem i sprawa ma się lepiej, niż tutaj przedstawiliśmy.

Wzywamy nasze Towarzystwa, aby rzecz rozpatrzyły, a jeżeli zdanie nasze jest słuszne zwróciły się do odpowiednich czynników, które mogą wpłynąć na zmianę dzisiejszego kierunku Tow. rolniczych.

Unikając wszelkiej partyjności, nie zwracamy się do pism codziennych, które przez jednostronne i partyjne zapatrywania mogłyby dobrą rzecz sparaliżować.

Piszą nam z miasta: Władze krajowe nie są zwolennikami bojkotu. Wprawdzie zabronić go nie mogą, ale wszelkimi sposobami starają się go osłabić. Cofnąwszy się na jednym punkcie, krytym sztychem godzą w inny.

Było dotąd w zwyczaju, że nauczycielstwo kupowało większe zapasy przyborów szkolnych i zbywało je dziatwie. Było to wielkiem udogodnieniem dla obu stron, gdyż młodzież mogła łatwo nabyć tańszy i doborowy towar. Kształt, barwa i t. d. zeszytów była jednakowa, zapobiegało się też „zapomnieniom“ zeszytu, ołówka i t. d. w domu.

Obecnie Rada szkolna wydała ukaz zabraniający tego zwyczaju, co więcej, zakazała wskazywania firmy, u których można się zaopatrywać w przybory szkolne. Ukaz ten godzi w krajowy przemysł bardzo dotkliwie. Z wyjątkiem cyrkli, niektórych przyborów do robót, prawie wszystkie przybory szkolne dostarczał kraj. Obowiązkiem zatem patryotycznie usposobionego nauczycielstwa było popieranie sklepów, które ich dostarczały i pouczanie młodzieży w tej dziedzinie. Nauczycielstwo nasze w kraju całym obowiązek ten wypełniało rzetelnie, skutki pracy tej widać już było wśród młodzieży, nawet wśród małych dzieci, które nie przyjmują w sklepach innych zeszytów jak z „mrówką“ i przekonywująco tłumaczą kupcom, że „ołówek polski“ nie jest polski, ale pruski, „bo tak pani mówiła“. Doprawdy nadzieja rosła, że to pokolenie, gdy dorośnie, energiczniej potrafi upomnieć się o swe prawa niż my — i hasło „swój dla swego“ przestanie być czczem hasłem.

Dziś pośrednio ukaz rady szkolnej godzi w tę propagandę.

Inny fakt: Rada szkolna umie być niesłychanie pieczołowitą o bezpieczeństwo i zdrowie dzieci... Fakt trudny do uwierzenia, a jednak prawdziwy: oto zabroniła używać zeszytów spinanych, kazała wprowadzić szyte. Dlaczego? Bo drucikiem dziecko może się zadrasnąć!

Zaiste czułostkowość całkiem chybiona! Trzebaby jednym zamachem wyrzucić ze szkoły i inne „morderczee“ narzędzia, jak cyrkle, scyzoryki, igły, szydełka, zwłaszcza te ostatnie, które są często przyczyną rzeczywiście niebezpiecznych zranień.

To jest strona humorystyczna sprawy. Druga niestety również godzi w nasz przemysł: mianowicie maszyny do zeszywania zeszytów są bardzo drogie, są dostępne tylko wielkim przedsiębiorstwom, zatem mniejsze warstaty byłyby skazane na zagładę. A właściwie ani mniejsze, ani większe zakłady nie mogłyby, sprowadzić tej maszyny. Pochodzi ona bowiem z Prus...

Liga Pomocy przemysłowej zwraca uwagę na brakującą u nas prawie zupełnie gałęź przemysłu, następujących drobnych wyrobów z drzewa: wióry bukowe do wyrobów szewskich, deszczułki dla szczotkarzy, pudełka z wiór na cykoryę, na smary, pudełka z wiór dla celów aptecznych (na maście i proszki), wióry dla fabryk octu, pudełka na sery i t. d.

Prawie wszystkie te wyroby przychodzą do Galicyi w ogromnej ilości z Czech, Moraw i Węgier.

Produkcya jest łatwa przy użyciu maszyn do strugania, pędzonych motorem ropnym i przy użyciu taniej siły roboczej.

W okolicach pozbawionych przemysłu, byłyby poważne widoki powodzenia dla dotyczącego przedsiębiorstwa.

Koszt założenia fabryki na mniejszą skalę 15.000 do 20.000 koron.

Organizacya bojkotu towarów pruskich podaje do wiadomości, że obuwie marki Salamandra pochodzi od firmy Sigle & Cie w Kornwestheim-Stuttgart przeto jest wytworem pochodzącym z Rzeszy niemieckiej.

„Blitz Creme“ pasta do obuwia nie jest wyrobem krajowym, a w kraju mamy liczne fabryki tego wytworu, które ogłaszają się i proszą o poparcie.

Od początku roku uwijają się ajenci pruscy po kraju i zalecają kalendarze na rok 1911, przeto wzywamy wszystkie firmy krajowe, aby przedewszystkiem uwzględnić wydawnictwa nasze galicyjskie i wielkopolskie firmy F. K. Ziołkowskiego i S-ka w Pleszowie, zastępstwo S. W. Niemojowski we Lwowie.

Czytamy w „Przeglądzie lekarskim“:

„Apteka krakowska Gralewskiego, Jahra i Blumenfelda przysłała mi podkładkę biurową firmy Richtera z kalendarzem i poleceniem przez firmę wyrabianych leków, wszystko w języku niemieckim. Prawdopodobnie podarkiem tym uszczęśliwiono wielu lekarzy w Krakowie i Galicyi i chyba wszyscy uważać muszą zarzucanie nas lekarzy Polaków niemieckimi reklamami, choćby w postaci i najpiękniejszych podarków, za bardzo niewłaściwe, a dziwię się, że znalazła się w Krakowie apteka, która użycza firmie tej czy innej do podobnych celów swego pośrednictwa, lekceważąc sobie obowiązek, przypominany przemysłowcom naszym krajowym przez Straż polską. Niezamówiony przezemnie kalendarz podkładkowy pośrednikowi odesłałem, podając powody.

Nowy Rok przynosi nam sporo takich rozmaitych podarków w postaci kalendarzy, bezwartościowych zazwyczaj, a zawsze reklamujących firmy niekrajowe, które polecają towar obcy. Odsyłaniem tych nieproszonych „podarków“ powinniśmy tamę położyć natrętnemu polecaniu obcych wyrobów, często mało wartościowych, a to tem bardziej, gdy nawet przy tem nasz język nie bywa uwzględniany. Wyzyskują nas, a w dodatku jeszcze nam urągają. Ocknijmy się!

Prof. Dr. Wicherkiewicz

Wiece Polskiej Ligi Narodowej.

W poprzednim numerze „Straży Polskiej“ wymieniono już miejscowości i nazwiska delegatów, za których staraniem odbyły się wiece P. L. N. w roku ubiegłym. Nie mamy zamiaru powtarzać tu opisów tych wieców w sposób szablonowy z dwóch powodów, po pierwsze dlatego, że uświadamiające zebrania narodowe są jednem z programowych zadań Towarzystwa, powtóre zaś z tej przyczyny, że nie licuje z poważną tradycyą naszego pisma, by służyło za teren reklamy osobistej, co zbyt często z ujmą dla samej pracy narodowej dzieje się w wielu pismach krajowych. Zresztą mamy to głębokie przekonanie, że ci, co podjęli się pracy żmudnej, niewdzięcznej, ale za to wysoce ideowej, nie żądni są tanich poklasków chwilowych. Zadowolenie swej ambicyi znajdują w własnych uczynkach.

Ogólnie jednakże podnieść należy z naciskiem, że wszystkie wiece P. L. N. odznaczały się wielką powagą i dostojnością. Referaty zasadnicze, „o uczsku narodowym na ziemiach polskich“ i „o potrzebie łączności w pracy narodowej“ — jakoteż inne okolicznościowe przemówienia — wygłaszane były przez delegata Zarządu głównego Ligi z wielkiem zrozumieniem, i odczuciem, stylem popularnym, a wymownym tak, że trafiały do serc i umysłów wszystkich słuchaczy. A tymi słuchaczami byli wszędzie obywatele i obywatelki wszystkich stanów. A więc: duchowieństwo, szlachta, inteligencya miejska, mieszczaństwo, włościanie i robotnicy.

Oprócz jedynego wiecu w Przemyślu, gdzie jednomyślność uchwał osłabiły wywody kilku partyjnością zbyt przesiąkniętych, choć niewątpliwie patryotycznych mówców, usiłujących wbrew logice udowodnić, że „łączność“ propagowana przez P. L. N. jest właściwie „rozbijaniem“ (!!) społeczeństwa — wszystkie rezolucye programowe P. L. N. uchwalano na wiecach jednomyślnie wśród ogólnego zapału. Oby tylko poszły za rezolucyami czyny!!

Niemal wszędzie wyrażano głośno ogólne zadowolenie, że po tylu partyjnych, ziejących nienawiścią i nizkiemi insynuacyami wiecach — przecież raz doczekano się wiecu prawdziwie narodowego, na którym przeciwnicy chowali broń — jedną wszechwładną ideą ogarnięci: „pracować wspólnie dla wspólnego dobra; walczyć ze sobą o różnicę zasad i przekonań — ale razem iść, gdy rzecz idzie o „salutem reipublicae“.

Wszystkich wieców rezultatem było wzmożenie się pracy narodowej w istniejących miejscowych Towarzystwach n. p. w Sokole i T. S. L. — bo wspomagać te prace i usiłowania leży również w programie Ligi.

Najwspanialszym był niewątpliwie wiec w Chorostkowie w pow. husiatyńskim. Olbrzymia sala Sokoła mogła pomieścić zaledwie 1200 uczestników; reszta, około 300 osób, musiała przysłuchiwać się obradom z podwórza.

Były i doraźne materyalne rezultaty z tych wieców. W każdej miejscowości utworzono stały Komitet P. L. N. składający się z delegatów miejscowych Towarzystw.

Liga Narodowa zyskała w tych miejscowościach wielu członków, bez ujmy dla celów innych Towarzystw. Nawet włościanie i włościanki na apel mówców dobrowolnie się cisnęli z drogiemi, jak perły łzami w oczach, do tacy ofiarnej, składając grosz ofiarny na cele ogólno-narodowe.

Te drobne ofiary były tem droższe, że ów lud poraz pierwszy je w życiu składał dla... idei. Więc złożono między innymi: Na Macierz śląską: **w Żydaczowie 64 kor. 69 hal. i w Łańcucie 26 kor. a w Chorostkowie 64 kor. 40 hal.**, z czego przeznaczono na miejscowy „dom polski“ 44 kor. 40 hal., a 20 kor. na Dar grunwaldzki.

Na każdym wiecu wnoszono protest przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny, uczono lud miłości ziemi i języka — i pouczano jak należy bojkotować towary pruskie i z Rzeszy niemieckiej pochodzące.

W sprawie bojkotu współdziałała z P. L. N. stale Organizacya bojkotowa we Lwowie.

Z uznaniem wreszcie podnieść trzeba, że do powodzenia wieców przyczyniały się wszędzie wybitne jednostki narodowe w wymienionych miejscowościach, a w szczególności duchowieństwo, zachęcając z ambony lud do wzięcia licznego udziału — i prezesi Towarzystw Sokolich i Szkoły Ludowej — do których przedewszystkiem udali się miejscowi delegaci P. L. N. o pomoc i współdziałanie. Sale na wiece ofiarowały bezpłatnie Tow. Sokole w Żydaczowie, Barszczowie, Łańcucie, Zbarażu, Podwołoczyskach i Chorostkowie. W Przemyślu odstąpił magistrat salę ratuszową.

Jesteśmy przekonani, że gdyby wszyscy zamianowani przez Zarząd P. L. N. delegaci chętniej i raźniej brali się do dzieła, to nie kilkanaście, lecz kilkadziesiąt wieców i odczytów można było urządzić w roku ubiegłym, z czego wynikłaby wielka korzyść dla idei narodowej. Miejmy nadzieję, że w roku bieżącym — w roku grunwaldzkim — wszyscy delegaci zapalą pochodnie pracy i inicyatywy — a jeśli nie mogą tego uczynić — to przynajmniej zawiadomią o tem Zarząd Ligi i zaproponują zastępców chętnych do spełniania tego szczytnego obowiązku narodowego.

Uwagi.

What's the best news? Co słychać w Krakowie?

Pytanie trochę kłopotliwe, jeżeli się zważy, że weszliśmy obecnie w fazę wcale nie zajmującego pokarnawałowego „kociokwiku“ na całej linii. U wrót dobijają się wierzyciele, to zaś jak wiadomo, nie przyczynia się do poprawy humoru. Są długi różne: większe i mniejsze, dające się i nie dające prolongować, honorowe i... niehonorowe; tak się to tego paskudztwa namnożyło w karnawale, ani wiesz kiedy. A teraz rób co chcesz, byleś płacił. Stoi tam posłaniec z rachunkiem od Hawełki: za obiady zjedzone przez p. Janinę Borowską w więzieniu. No, drobnostka... Koszta nieudałego uruchomienia sejmu czeskiego — można prolongować aż do otwarcia sesyi Rady państwa, wtedy zapłacimy — z procentem! Nieodbytą podróż celem poszukiwania kapitałów francuskich dla banku przemysłowego — zapłaci *na razie* Dolnoaustryackie Towarzystwo eskontowe. Kilkumiesięczny pobyt pp. Styków w hotelu Pollera i koszta projektów konstrukcyi pod panoramę... Hola! nie przyjmujemy: ten rachunek niech płaci centralna komisya konserwatorów w Wiedniu. Oczywiście — wszakże to najwyższa instancya, która panoramy do barbakanu nie dopuściła, zaczem niech koszta p. Styce zwraca. Nie zechce? no, trudno, — zapłaci wtedy magistrat, który korzystną dla Styki uchwałę Rady miejskiej uznał za nie obowiązującą. Swoją drogą forma ukazu wiedeńskich konserwatorów była w całem tego słowa znaczeniu męska i zasadnicza: nie obracać rondla bramy Floryańskiej na „triviale Festlichkeiten“. Uroczystości trywialne — *ipsissima verba* pisma niemieckich specyalistów od sztuki. Tak nazwano półwiekową rocznicę pogromu Niemców na polach Grunwaldu i Tannenbergu!

I oto smutny tryumf przeciwników panoramy grunwaldzkiej — dostaliśmy policzek i musimy schować go w kieszeń. I to jest najprzykrzejsza niehonorowa zaległość, której wyrównać nie potrafimy.

Grunwald, miecze, król Jagiełło,
Hajno się po hełmach cięło!
A wichr wył i dął i wiał...

Grunwald!... Magiczne dla duszy polskiej słowo. Na brzmienie jego, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mary wstają: pancerne hufy do boju pędzą, w powietrzu „tysiąc zamachniętych prawic“ i sztandarów łopot i śmiertelny dźwięk o pancerze kujących mieczów, jakoby tysiąc siekier waliło bór i straszliwy trzask śmiercionośnych wozów Żyżki i wrzask lekkich chorągwi Witoldowych — i ta pod lasem złocista zbroja, w której łuna zachodu tysiące purpurowych iskier nieci: a ponad nią, zdala widny, z wichrem igrający sztandar wskazuje, że tam majestat królewski stanął i śmiertelnej pracy z troską dogląda... I jak z jednej strony ten homerycki bój wojów-olbrzymów fantazyę w nas karłach-neurastenikach podniecа, tak znowu wspomnienie unii i zjednoczenia w odporze śmiertelnego a wspólnego wroga jest naszym sercom radosne. Więc też zamierzamy odbyć wspólnie w Krakowie to nasze święto godowe na wzmocnienie i pokrzepienie w ciężkiej walce doby obecnej. Kraków przygotowuje się do tego powszechnego święta, jednak — przykro wyznać — nie w takiej jednomyślnej gotowości, jakby godność chwili tego wymagała. Incydent z panoramą Styki jest drobnym lecz wymownym na to dowodem. Poza garstką ludzi, którzy ze względów artystycznych na umieszczenie obrazu w rondlu się nie godzili, działały wpływy tajne, lecz możne, wiały wiatry z Wiednia, gdzie nie łudźmy się, patrzą na przygotowania obchodowe niechętnie i chcieliby te „trywialne uroczystości“ możliwie osłabić i umniejszyć.

To też od czasu do czasu ten i ów tajny radca z komitetu obchodowego się wycofuje, lub zaproszenia do wzięcia udziału w pracach obchodowych odmawia. Dar Paderewskiego przyjęto. lecz na gwałt proponowano pod pomnik plac św. Ducha, wymagający w tym celu inwestycyi, któreby odłożenie pomnika przynajmniej o rok odwlekły. Ten i ów zasłania się „racyą stanu“: obchód grunwaldzki może ściągnąć represye rządowe w zaborze pruskim. Jeżeli myśli tak szczerze, to, sądzę, pada nie poprawną ofiarą jeszcze jednej ugodowej iluzyi, na których wszakże tak bardzo poparzyliśmy się w Poznańskiem. Bo czy obchód będzie, czy nie, system pruskiego rządu względem nas ani na włos się nie zmieni „toż to jest przecie

pruska „racya stanu“, oparta na wiecznotrwałym antagonizmie Germanów i Słowian i żywych tradycyach polityki „żelaznego kanclerza“.

Tedy mimo wszystko obchód grunwaldzki się odbędzie, choćby w komitecie obchodowym ani jeden tajny radca nie zasiadł. Domaga się tego nasza godność narodowa, domaga się ten pęd żywiołowy, od dołu idący, który niczem spętać się nie da, żądają tego prochy wielkiego pogromcy Krzyżaków, w katedrze wawelskiej spoczywające, żądają owe głosy z zamorza tych jak liście od pnia ojczystego oderwanych tułaczy polskich. Na swojej jesteśmy ziemi i ze swobód, jakie mamy, wolno nam korzystać. *Maryan Szyjkowski.*

* * *

W powyższych uwagach znajduje się jedna drobna niedokładność. Centralna Komisya archeologiczna w Wiedniu nie zakazała, bo do tego nie miała prawa, lecz zgłosiła się do prezydenta miasta, aby nie oddał barbakanu na „triviale Festlichkeiten“. O takie pismo postarano się z Krakowa, — uroczystości grunwaldzkie tak tam przedstawiono. Nie pomoże wypieranie się, że konserwatorzy krakowscy nie wnieśli rekursu do komisyi centralnej. Rekursu wogóle być nie mogło, bo komisya nie władza, nie wyższa instancya. Ale ustnie czy listownie proszono komisyę o wdanie się w tę sprawę, aby zasłonić p. prezydenta miasta, który polecił czy też pozwolił magistratowi lekceważyć uchwałę Rady miejskiej i brał udział w intrydze pewnych.. polityków. Komisya nie zrozumiała widać o co właściwie chodzi (wiele jej też zależy na „godności“ barbakanu!) i owem wyrażeniem, ubliżającem uroczystościom grunwaldzkim, uczyniła niedźwiedzią przysługę naszym... politykom-konserwatorom.

Sprawy barbakanu nie poruszaliśmy, i dziś nie poruszalibyśmy, gdyby nie to, że wyszła na jaw brzydka robota. Nie idzie nam o panoramę p. p. Styków (właściwie nie miała to być panorama, lecz wielki półkolisty obraz, bez akcesoryj i sztuczek panoramowych), lecz o to, że pod pokrywką obrony godności barbakanu, której miał obraz ubliżyć (nie ubliżał jej skład łopat, taczek, mioteł i kamieni) i pod pokrywką obawy uszkodzenia tego zabytku (budownictwo miejskie zatwierdzeniem projektu klatki żelaznej obawę tę uchyliło), zdołano wszelkiego rodzaju intrygami tak przewlekać sprawę, aby p. p. Stykowie nie mieli czasu na wymalowanie obrazu, a tem samem, aby można obalić jeden z punktów programu uroczystości grunwaldzkich. Obalono go *pour le roi de Prusse* i przystąpiono do pracy nad obalaniem punktów dalszych. Dziś to przestało być tajemnicą — i wszystko to, co pisze p. M. S. jest, niestety, świętą prawdą.

(K. B.) Na całej linii toczy się walka, aby obchód grunwaldzki sprowadzić do rozmiarów „właściwych“, aby nie drażnił Prusaków Rozpowiadają się bajeczki o grożącej zemście ze strony rządu pruskiego. Za każdą gorącą mową ma pójść wywłaszczenie — za każdy demonstracyjny punkt programu, mają na zabór pruski spaść inne klęski

Autorzy tych bajeczek (są zresztą wyjątkowo pomiędzy nimi i ludzie dobrej wiary), liczą na naszą łatwowierność. Ale chyba mamy oczy i widzimy, że prześladowanie nas w Rosyi i Prusiech, to stały system. Choćbyśmy nie wiem jak się kłaniali i płaszczyli, system ten nie ustanie, póki jakieś wielkie wypadki polityczne go nie obalą, póki jakiś przewrót nie złamie szponów jastrzębich i nie obetnie pazurów niedźwiedzich. Wszystko, co robimy i jak robimy, będzie zbrodnią — bo zbrodnią dla ciemięzców naszych jest to już, że żyjemy.

Nie dajmy Prusakom pretekstu! — wołają tchórzliwi politycy, — a zapominają, że pretekst każdej chwili znaleźć można, że zresztą podlegamy stałym prześladowaniom i bez żadnego pretekstu. Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie, a Moskale i Prusacy szukać go nawet nie potrzebują, bo bata i pałki z rąk nigdy nie wypuścili.

Czem zawiniliśmy przed ustanowieniem komisyi kolonizacyjnej? Czem zawiniliśmy przed ustawą o wywłaszczeniu? Wszak obchodów grunwaldzkich wówczas nie obchodziliśmy.

A w zaborze rosyjskim? Pomijamy cały długi szereg dawniejszych płaszczeń się i prób wstąpienia na drogę lojalności. Ale weźmy czasy ostatnie. Głosowaliśmy lojalnie w Dumie za poborem rekruta (bez naszych głosów byłby upadł wniosek rządowy) — i w odpowiedzi zmniejszono liczbę posłów z Królestwa. Bez żadnej przyczyny zamknięto „Macierz szkolną“ i liczne polskie towarzystwa oświatowe na Litwie i Rusi. Zadęliśmy w dudkę słowiańską „bez żadnych zastrzeżeń“, przyjmowaliśmy ucztami w Krakowie i Warszawie Bobrińskich, — i dla zgody z Polakami wypracowano projekt odłączenia Chełmszczyzny. Na Rusi powstało stronnictwo „krajowe“, wypierające się łączności z Polską; wybrało ono Rosyanina posłem, choć rozporządzaliśmy większością głosów; doszło do tego, że Polacy wołyńscy przezwali się Wołyńcami i odsyłali elementarze polskie, przysłane z Warszawy dla dzieci polskich (czytaj „Wiry“ Sienkiewicza), i za tę wierność, więcej niż psią, w projekcie samorządu ograniczono do *minimum* udział w nim Polaków.

Dość tych upokorzeń, dość tego płaszczenia się.

Mówią nam, że Wielkopolanie z troską patrzą na obchód grunwaldzki. Czy i to jednak nie bajeczka? Wiemy wprawdzie, że kilku panów poznańskich, pochodzących z jednej tylko sfery, czyni zabiegi, abyśmy poprzestali na nabożeństwie żałobnem za poległych pod Grunwaldem. Ale czy ci panowie są reprezentantami całego społeczeństwa? Gdyby do nas odezwało się tysiące rodaków wielkopolskich ze wszystkich sfer, gdybyśmy wiedzieli, że ich głosy można uważać za głos znacznej większości zaboru pruskiego — ha! to co innego. Z bólem serca ustąpilibyśmy; — ja pierwszy głosowałbym, aby żadnej uroczystości, nawet owego nabożeństwa nie było. Bo choć byłbym silnie przekonany, że obawy wielkopolan płonne, że nasza uroczystość ani im zaszkodzi, ani pomoże — to przecież uważałbym, że obowiązkiem naszym byłoby uwzględnić nawet takie płonne obawy, a to dlatego, aby, gdy Prusak ich przyciśnie, nie powiedzieli z wyrzutem: czemuście nas słuchać nie chcieli? Lecz oni tego powiedzieć nie mogą, bo wiedzą, że Prusak tak czy owak cisnąć ich będzie...

Nie, to nie prawda, aby tego społeczeństwo wielkopolskie od nas wymagało. Wszak czytamy dzienniki wychodzące pod pruskim zaborem — gdzie w nich ślad tej obawy? Owszem, dowiadujemy się z nich, że i tam Grunwald, choć w skromnych rozmiarach, będzie obchodzony. Już jest obchodzony — świadczą o tem liczne okolicznościowe wydawnictwa.

Więc „obawy“ kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu panów, nie mogą nas powstrzymać od tego, czego uczucia wymagają Nie dajmy się uwieść — straszakom. Pamiętajmy też o tem, że gdybyśmy obniżyli uroczystości grunwaldzkie, wywołalibyśmy silny protest w naszem galicyjskiem społeczeństwie. Do waśni stronnictw, klik i karyerowiczów, której już mamy po uszy, przybyłaby jeszcze waśń ogólna, tak smutna i bolesna, że stałaby się klęską narodową.

Mikołaj I. powiedział: Nienawidzę patryotów polskich, ale Polakami służalcami moimi — pogardzam!

Nienawiść wrogów naszych stale nam towarzyszy — nie zasługujmy przynajmniej na ich pogardę.

Wychodzące w Tylży pismo litewskie *Birute* zamieściło odezwę Towarzystwa „Birute“ do społeczeństwa litewskiego. Streściwszy w kilku słowach dzieje bitwy pod Grunwaldem, autorzy odezwy zaznaczają, jak roku zeszłego w Niemczech uroczyście obchodzono 1.000-czną rocznicę wytępienia legionów rzymskich przez wojska germańskie pod wodzą Arminiusza „Co jest więc przyjętem u innych narodów“ — pisze *Birute* „tego i nam nikt chyba nie może zabronić; my również chcemy uroczyście obchodzić ów pamiętny dzień z dziejów historyi naszego narodu“. W tym celu Towarzystwo „Birute“ urządza stosowny obchód i odwołuje się do społeczeństwa litewskiego, zapraszając wszystkich do wzięcia w nim udziału Uroczystość odbędzie się w Tylży dnia 17. lipca. Program nader urozmaicony; na scenie będzie wystawiona tragedya historyczna, poczem uformowany pułk żołnierzy litewskich, przybranych w odzież historyczną, z orkiestrą wojskową przejdzie przez ulice miasta. Nadto Towarzystwo organizuje wielki chór litewski ze śpiewami narodowemi. Uczestnicy są spodziewani nietylko z Litwy pruskiej, lecz i z Litwy rosyjskiej.

Już więc i Litwini i to pod rządem pruskim uroczyście będą święcić rocznicę, którą obchodzić boją się Polacy w państwie austryackim!

(kb). Setną rocznicę urodzin wielkiego Chopina obchodził Kraków wspaniale!

Wspaniałość tkwiła w tem, że rocznica przeszła, a nie utworzył się żaden komitet, któryby pomyślał o oddaniu hołdu Chopinowi za przykładem Królestwa, Wielkopolski i części Galicyi. Bo po co komitet? Możeby jeszcze urządzono jakie nabożeństwo żałobne, albo jaki demonstracyjny (brr!) pochód z wieńcami, możeby komuś jeszcze przyszła na myśl chętka zaznaczenia, że Chopin był Polakiem.. Jak nic zbudziłby się jakiś patryota i krzyknął: Jeszcze Polska nie zginęła!

Więc lepiej, że nikogo nie drażniliśmy, a obchód Chopina urządziliśmy cicho, cichutko, — w sercach naszych. Każdy w dniu 22. b. m. przed udaniem się na spoczynek zmówił modlitwę za duszę ś. p. Fryderyka i posłał ciche westchnienie ku prochom jego spoczywającym na obczyźnie.

Tylko przedsiębiorstwo koncertów w Starym Teatrze urządziło dwa koncerty chopinowskie, to jest właściwie chciało urządzić, bo odbył się tylko jeden, gdyż na drugi, w s a m d z i e ń s e t n e j r o c z n i c y, nie zezwolił p. prezydent. A miał ku temu ważną przyczynę: przybył do Krakowa minister rodak dr. Dulęba, więc p. prezydent potrzebował sali sąsiadującej z koncertową na kolacyę dla p. ministra.

I słusznie postąpił p. prezydent. P. Dulęba nie tak prędko zawita do Krakowa, może nawet, jak po raz drugi przyjedzie, nie będzie już ministrem. A Chopin będzie zawsze Chopinem i można mu koncert urządzić tak 30. marca, jak 12. kwietnia lub 3. października i jeżeli nie w roku tym, to w przyszłym.

(kb). Umieściliśmy powyżej nieznany utwór poetyczny Felicyana Faleńskiego. Jestto poeta, którego świeżo odkryła prasa warszawska z powodu 85-tej rocznicy jego urodzin.

Faleński ma szczęście, że go co pewien czas ktoś „odkryje“. Przypominam sobie, że przed laty kilkunastu sam stałem się takim odkrywcą. Wydał wówczas Faleński nowy tom swych wspaniałych przekładów, więc jako stały sprawozdawca literacki jednego z tygodników, napisałem obszerniejszą o tym tomie wzmiankę, składając gorąco hołd jego autorowi, jako mistrzowi formy i języka. Widocznie „czyn“ mój należał do niezwykłych, kiedy p. St. Estreicher czuł się w obowiązku zaznaczyć go w innym tygodniku i dał mi dobry stopień za to, że wiedziałem coś o tym, wysoce cenionym przez p. E., ale nie tylko ogółowi, lecz i większości literatów i krytyków... nieznanym poecie.

Tak jest, Felicyan jest nieznany. Nieznany pomimo, że już w r. 1860 pisał Julian Bartoszewicz (*w Hist. lit.*) o jego niepospolitym talencie poetyckim, że w tymże czasie Siemieński składał hołd jego pieśni. Nieznany, pomimo, że już w r. 1905 upłynęło 50 lat od wyjścia pierwszego zbioru jego utworów, pomimo że bibliografia wylicza 27 wydań jego utworów oryginalnych i przekładów. A w tych utworach oryginalnych jest dziewięć dramatów niepośledniej piękności (niektóre nagrodzone na konkursach) są poezye epiczne i liryczne, opowiadania, studya itd. itd. — wszystko rzeczy albo wielkiej wartości, albo conajmniej lepsze od wielu... „genialnych“ utworów nowej plejady „wieszczów naszych“

Kto będzie biedyś pisał studyum o bladze naszej krytyki literackiej, temu Faleński posłuży za przykład.. bezprzykładny. Wobec całych rozpraw, ba! tomów pisanych o jednodniowych wielkościach, trwało wciąż milczenie o poecie, którego najdrobniejszy nawet wiersz zawierał głęboką myśl, lub uderzał w szlachetną strunę serca, albo smagał subtelną ironią (Meandry), a imponował zawsze świetną niezrównaną formą, i czystym jak brylant pierwszej wody językiem.

Milczą nawet o Faleńskim niektóre... podręczniki literatury

Skąd to milczenie? Oto stąd, że Faleński nigdy nie należał do żadnej koteryi literackiej, nigdy też z pewnością nikomu nie powiedział: napisz coś o mojej książce. Był po prostu... niepraktyczny. A u nas, chcąc być głośnym, trzeba tak robić, jak robią wszyscy młodzi, młodsi i najmłodsi. Tworzą kółko: Adam pisze o Bogdanie, a Bogdan o Adamie, o nich dwu piszą znów Cypryan i Dawid, a Bogdan z Adamem reklamują Cypryana i Dawida. I tak się kółko rozszerza, ma swe filie w Krakowie, Lwowie, Warszawie. Ciągle też czytamy: nasz wielki, nasz większy, nasz największy! A niechno ktoś i to ktoś „nie byle jaki“, mogący wykazać się dokumentami swej wiedzy czy talentu, napisze, że

ten „większy“ lub „największy“ jest zaledwie nieco więcej niż „średni“, to tak się rzucą na owego „ktosia“ Adamy i Bogdany, Cypryany i Dawidy, że czytająca publiczność będzie miała wrażenie iż ów „ktoś“ popełnił zbrodnię nad zbrodniami, a usprawiedliwić go można jedynie całkowitą umysłową niepoczytalnością.

Faleński nie należał też i do żadnego obozu. Gdyby nie to, przynajmniej „swoi“ byliby o nim pisali. Stanowczo był niepraktyczny.

P. Ignacy Baliński składa winę i na Warszawę. „Wolno Paryżowi — pisze z ironią — przechwalać i narzucać światu swoje wielkości, nawet najściślej brukowe, wolno np. Krakowowi wielbić, studyować, rozgłaszać krakowskich poetów, artystów, działaczy, nawet początkujących, — to dobre, to słuszne, chylmy przed tem głowy! Ale Warszawie względem tych swoich, stałych, tych najbliższych — to nie uchodzi. Nie twórzmy, broń Boże, „wielkości warszawskich“, niech ich przynajmniej naprzód gdziekolwiekindziej pochwalą“!

Nie całkiem słuszna ta ironia. W Warszawie jest dużo „wielkości“ na jej bruku wyrosłych, a mimo to cieszących się sławą często niezasłużoną. A z drugiej strony w Krakowie byli i są pisarze, o których tylko się milczy, a byli i tacy, którym nieuczciwa krytyka śmierć przyspieszała. Prawda, że to spotykało tylko „starszych“.

Felicyan z pogodnym uśmiechem wspomina, że przyjdzie chwila, kiedy mu się wszyscy kłaniać będą. Stanie się to wówczas kiedy będzie wieziony tam „skąd się już nie powróci wcale“..

Wtedy mi schodząc w bok, na stronie
Zarówno wielcy jak i mali,
Będziecie grzecznie czapkowali;
Ale ja wam się nie odkłonię,
Bo będę miał złożone dłonie,
I wzrok utkwiony w jasnej dali...

* * *

Polacy w Ameryce, a specyalnie „klub Galicyanów“ w Hawthorne, jak donosi chicagowski „Dziennik Narodowy“ buduje pomnik Cyganiewiczowi w osadzie Kraków. „Nadto — pisze D. N. — założony tam zostanie park imienia Zbyszka, w którym stanie również pomnik naszego szampiona światowego“.

Bogaty i... rozumny musi być ten klub Galicyanów. On wie jakie naród nasz ma czcić zasługi i wielkości.

Co prawda i nasz Kraków uwielbia przedewszystkiem sporty i tz. sensacye. I u nas są dzienniki opisujące z zapałem na dwu szpaltach petitem zwycięstwo krakowskiego narciarza w Wintersportclubie w... Bielsku. A ten Wintersportclub, stowarzyszenie niemieckie na ziemi polskiej, łączy ze sobą najzacieklejszych śląskich hakatystów; — a na jego wyścigi zebrali się narciarze z całych Niemiec; — a wyścigi te odbywały się na Josefberg (tak przechrzczono polską Magórkę); — a członkowie tego Wintersportclubu należą ideowo do tych, co w r. 1902 przelali krew polską podczas poświęcenia „Domu polskiego“ w Bielsku, a później masakrowali posła Dobiję; — a za uszkodzenie postawionego prowokacyjnie schroniska pruskiego Beskidenvereinu (Wintersportclub jest jego sekcyą) młodzież robotniczą polską skazano na kilkomiesięczne więzienie.

Nic też dziwnego, że, jak pisze *Czas*, zwycięstwo narciarzy krakowskich powitali członkowie klubu oklaskami tylko „z grzeczności“, a z tłumu publiczności zaledwie kilka oklasków usłyszeć się dało.

Więc choć śmiesznie nam wygląda ów Kraków amerykański, stawiający pomniki Cyganiewiczowi — wolimy już jego śmieszność, niż zwycięstwo „Wielkiego Krakowa“ w Bielsku. Wolimy zabawny „klub Galicyanów“, niż zwycięzców krakowskich w Wintersportclubie bielskim. Lepszy dla nas „szampion“ Zbyszek, niż szampan w Wintersportclubie, o którym *Czas* tak się rozpisuje. Wolimy wreszcie i chicagowski „Dziennik Narodowy“ zachwycający się Zbyszkiem, niż dziennik krakowski zachwycający się zwycięstwem na Josefsbergu.

KĄCIK JĘZYKOWY.

Spaźniać się, mowca i skrzypaczka.

W nrze styczniowym zaznaczyłem krótko, że powinno się mówić i pisać: spóźniać się i mówca, a nie: spaźniać się i mowca. Prócz tego zauważyłem, że rażący mnie swą brzydotą nowotwór skrzypaczka, jest nieprawidłowo utworzony, bo od wyrazu skrzypek powinien być rzeczownik żeński skrzypka.

Na to redakcya otrzymała list następujący:

Szanowna Redakcyo!

W nrze 21 „Straży“ ze stycznia b. r. w „Kąciku językowym“ w drugim ustępie, podpisanym literą *b*, czytam bałamutne twierdzenia, które chciałbym sprostować, jeśli Sz. Redakcya pozwoli.

Pan *b* twierdzi, że „spaźniać się“ jest „formą gminną, obcą językowi literackiemu“. Jest to twierdzenie z gruntu fałszywe.

„Spaźniać się“ jest czasownikiem częstotliwym (verbum iterativum) takim samym, jak inne tego rodzaju czasowniki: grać — grywać, nosić — naszać, spać — sypiać, pić — pijać, bić — bijać, znaleźć — znajdywać i t. d. Najlepiej to widać na przykładzie: „twój brat spóźnił się dziś do szkoły, a ty codziennie się spaźniasz“. Analogicznie możnaby utrzymywać, iż tylko „jeść“ jest formą literacką, a „jadać“ gminną.

Nie wiem, dlaczegoby miał śmiesznie wyglądać „mowca“, jeśli śmiesznie nie wyglądają: „mowa“ — „mowny“ — „rozmowa“ — „rozmowny“. Różnicę między „mowca“ i „mówca“ widzi tylko ten, kto nie ruszał się nigdy ze swego powiatu, czy też prowincyi. Poznańczycy stale mówią „ktoś“ i „coś“, a u nas z tego się śmieją ludzie. Wreszcie co do „skrzypaka“, mogę wskazać na Mickiewicza, który tej formy używa w „Panu Tadeuszu“, pisząc:

...„Patrz, stoi cymbalista, skrzypak i kozice;
Poczciwi muzykanci — już się skrzypak zżyma...

A nieco dalej:

„Skrzypak u sukni zakasał rękawek“...
(Księga XII. wiersz 626, 627, 633).

A zatem: jeśli „rodak — rodaczka“, „rybak — rybaczka“, to także „skrzypak — skrzypaczka“.

Z szacunkiem
Henryk Kopia
dyrektor gimnazyum w Sokalu.

Mimo tego sprostowania szan. dyr. Kopii, pozostaję przy swoich zapatrywaniach.

Czasownikiem częstotliwym od spóźnić się jest spóźniać się. Ów przykład: „twój brat spóźnił się dziś do szkoły, a ty codziennie się spaźniasz“ jest argumentem niefortunnym, bo zamiast: ty się spaźniasz powiedzmy ty się spóźniasz, a będzie to samo, tylko lepiej, poprawniej, językiem literackim. Formy spaźniać nie zna ani Linde, ani słownik wileński; — pierwszy wyraźnie pisze: „spóźnić cz. dok. spóźniać niedok.“

Według dyr. K. różnicę między mowca i mówca widzi tylko ten, kto się nie ruszał nigdy ze swego powiatu, czy też prowincyi. W odpowiedzi mogę naprzód zaręczyć szan. dyrektorowi, że „ruszałem“ się więcej niż kto inny i że niewielu nawet jest takich, którzyby się tyle co ja ruszali po powiatach i prowincyach polskich. Z mowcą tak rzadko zdarzyło mi spotykać wśród ludzi władających językiem literackim, że prawie tej formy nie zauważyłem. Zwróciłem na niego dopiero uwagę, kiedy zecerzy krakowscy zaczęli na gwałt przerabiać mego mówcę na swego mowcę — ale powagi ich w sprawach językowych nie uznawałem. Słownik warszawski, nagrodzony przez Akademię Umiejętności, zna dziś tylko mówcę, a przy mowcy daje krzyżyk †, co oznacza wyraz staropolski wyszły z użycia. Ponieważ dyr. K. powołuje się później na Mickiewicza, przypominam mu więc, że Mickiewicz pisał: „Pan Chateaubriand mówca i poeta“, „Asesor i rejent obaj mówcy wielcy“. „Mówce twoi, panowie dusz i tysiąców“ pisze Zygmunt Krasiński.

Co do skrzypaczki, prawda, że Mickiewicz używa wyrazu skrzypak, a od niego prawidłowo tworzyłby się rodzaj żeński skrzypaczka. Ale co innego jest skrzypek, a co innego skrzypak. Między „muzykantami“ wiejskimi (a wszak o nich mówi Mickiewicz) nie dziwnego, że się skrzypak znajdował, bo skrzypać znaczy rzempolić; są tacy co „umieją skrzypać na skrzypicach“ (patrz Linde). Ale z pewnością Mickiewicz nie nazwałby skrzypakiem Paganiniego, Lipińskiego lub Barcewicza. Używa się tej formy względem artysty tylko w tym razie, jeżeli chce go się poniżyć. Mówi się wówczas: to miernota, to skrzypak, a nie skrzypek (to skrzypaczka, a nie skrzypka.) Otóż zgoda na to, abyśmy damę grającą źle, fałszywie, bez talentu, nazywali skrzypaczką, ale te które ładniej grają niech się i ładniej nazywają. Nowotwór skrzypaczka wynalazł niedawno jakiś literata (nie literat) warszawski, a „kuryerkowi wzmiankarze“ (powagi swego rodzaju) w lot go pochwycili. Nie sądziłem jednak, aby pisarze-artyści udzielili mu prawa obywatelstwa. Tymczasem w „Wirach“ idealną Marynię, serdeczną artystkę, Sienkiewicz do skrzypaczek zaliczył. To mnie skłoniło do protestu w skromnym „Kąciku“ Straży Polskiej.

Choć jednak obstaję przy swoich zapatrywaniach, nie przypisuję sobie nieomylności. Nie mam się za badacza języka, zdaje mi się tylko, że przestrzegam, o ile mogę, jego czystości. Chętnie dam się przekonać, chętnie przyznam się do błędu.

Dowodem mojej dobrej woli jest, że już po napisaniu powyższej odpowiedzi, udałem się z prośbą o rozstrzygnięcie sporu do znakomitego badacza języka polskiego, profesora tego przedmiotu na uniwersytecie lwowskim, dra Adama Antoniego Kryńskiego.

Oto odpowiedź jaką od niego otrzymałem:

Szanowny Panie!

Na wymienione w liście Pańskim pytania sporne przesyłam następujące objaśnienia.

1) Od słowa spóźnić w języku literackim i w mowie ustnej warstw wykształconych stałą formą częstotliwą jest spóźniać. Ci, którzy używają formy spaźniać (z zamianą *ó* rdzennego na *a*) ulegają tu błędnej analogii form słów częstotliwych z rdzenną samogłoską *o*, jak np. stworzyć — stwarzać, wyrobić — wyrabiać, sprosić — spraszać, przechodzić — przechadzać, przetopić — przetapiać, ugościć — ugaszczać i t. p. Słowa te mają aż dwa znamiona częstotliwości w swoich formach częstotliwych: jedno z nich zasadnicze, jest to przyrostek *'a* osnowy, przed zakończeniem *ć*, a drugie, również *a*, powstałe z rdzennego *o* (stworzyć — stwarzać, wygonić — wyganiać i t. p., jak wyżej). Zasada to ogólna w zakresie słów z rdzenną samogłoską o. Nie dotyczy ona słów, mających rdzenną samogłoskę inną: *u, ó, e, ę, ą, i, y*; słowa z temi samogłoskami zatrzymują te brzmienia rdzenne bez zmiany i w formach częstotliwych; mamy tedy np. utrudzić — utrudzać, wyrzucić — wyrzucać, nauczyć — nauczać, oziębić — oziębiać, rozlepić — rozlepiać, rozłączyć — rozłączać i t. p.; tak samo i słowa z rdzennym *ó* (które dziś w wymawianiu = *u*) zatrzymują swoje *ó* w formach częstotliwych; mamy więc prawidłowo: wyróżnić — wyróżniać i odróżnić — odróżniać, opróżnić — opróżniać, uogólnić — uogólniać, wyszczególnić — wyszczególniać, zgodnie z tym jest też: spóźnić — spóźniać, opóźnić — opóźniać. Charakter częstotliwości wszystkich tych słów uwydatnia tylko przyrostek osnowy *a* przed końcowym *ć*.

To samo, oczywiście, powtarza się i w pochodnych rzeczownikach słownych: odróżnianie, opróżnianie, uogólnianie, spóźnianie, opóźnianie.

„Wyjątek“ od tego stanowi forma częstotliwa mawiać (od słowa mówić), której wszakże utworzenie odnieść należy do okresu czasu, kiedy *o* było jeszcze samogłoską długą o, zanim przeszło na *ó* (pochylone), tj. gdy było w staropol. mowić (z dawniejszego „mołwić“). Tu więc z rdzennego o w staropol. powstało w formie częstotliwej *a*, na zasadzie ogólnej. Tak samo, dodać należy, w staropolszczyźnie jeszcze ze słowa uwłoczyć powstała forma częstotliwa uwłaczać. O formach zaś odróżniać, opróżniać, spóźniać tego powiedzieć nie można; one bowiem są pochodzenia późniejszego: powstały w czasie, gdy w języku polskim istniało już *ó* pochylone (wiek XVI i następ.).

2) Co do wyrazu mówca, to wymawianie w nim samogłoski rdzennej jak jasnego *o*: „mowca“, jest tutejszym prowincyonalizmem. Pewna część Polaków w zaborze pruskim również wymawia tu *o*. W ogólnym jednak języku literackim i w żywej mowie ludności Królestwa Polskiego wyraz ten używa się z brzmieniem *ó*, tj. „mówca“. Bez żadnej wątpliwości w języku ogólno-polskim nie mówi się ani mowca, ani mownica, mowka, mowniczy, krasomowczy, krasomowstwo i pisarze pierwszorzędni, wzorowi wyrazów tych używają w postaciach z samogłoską ó. Jest to fakt w języku polskim powszechnie znany. Potwierdzają go i słowniki polskie.

3) Wyraz „skrzypaczka“ utworzono niezbyt dawno (może przed kilkunastu laty). Nie odpowiada on formie męskiej skrzypek, lecz skrzypak, prowincyonalnej. Forma prawidłowa od skrzypek: ta skrzypka, albo nawet ta skrzypeczka, niezawodnie nastręczały się przy tworzeniu tej nazwy temu, kto pierwszy tworzył od skrzypek odpowiedni rzeczownik osobowy żeński, — ale brzmienia tych postaci (wobec istnienia w języku rzeczowników o liczbie mn. „skrzypki“ i „skrzypeczki“), zdaje się nie dosyć jasno wyrażały osobę, o którą chodzi, i dla tego prawdopodobnie, aby ominąć niejasność, niedogodność, utworzono wyraz żeński „skrzypaczka“ od rzeczown. męskiego „skrzypak“, który nie jest ogólnie polskim,

lecz prowincyonalizmem, wyrazem ludowym, używanym także i wśród Polaków na Litwie.

Łączę wyrazy szczerego poważania

Adam Kryński.

Składając serdeczne podziękowanie czcigodnemu prof. A. Kryńskiemu za jego łaskawe wyjaśnienie, stwierdzam z przyjemnością, że moje zapatrywania na spaźniać się i mowcę nie są ani „bałamutne", ani „z gruntu fałszywe", jak to pan dyr. Kopia starał się przedstawić.

Co do skrzypaczki kwestya otwarta. Szłoby o to co lepiej: czy przyjąć brzydko brzmiący i na formie prowincyonalnej ukuty wyraz, czy też narazić się na niejasność i niedogodność, o której wspomina prof. A. Kryński. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że podobnych niejasności i niedogodności i to nierównie większych, w języku naszym mamy sporo, a przecież jakoś sobie z niemi radzimy. Co więcej, zaledwie z wielkim trudem wpadłem na zwroty, któreby mogły wywołać niejasność przy użyciu formy skrzypka na oznaczenie kobiety grającej na skrzypcach. Ale to zwroty tak rzadkie, że dla nadzwyczajnych wyjątków nie warto chyba zanieczyszczać mowy polskiej obrzydliwą skrzypaczką. *K. Bartoszewicz.*

Autor „listu panny Władki" (St. G.) wykazał sześć błędów, czy też wadliwości logicznych, jakoby pominiętych przezemnie. Ej, czy też nie przesadził?

1) „Tak, jak" nazywa „niesmacznym rusycyzmem", a twierdzi, że „zawsze wystarczy: tak". Ani to nie rusycyzm, jeno właściwość innych także języków, ani też nie obca w naszej mowie i nie nowa forma wyrażenia.

2) „Ciocia już wstała z łóżka, natomiast praktykant położył się i t. d.". Powiada St. G. że „nie właściwe natomiast", bo chyba nie jedno było łóżko, więc praktykant mógł się był na innem położyć. Czy jedno było łóżko, czy było ich dziesięć, to rzecz obojętna. „Położyć się do łóżka" toć chyba znaczy tyle, co zachorować, a więc „ciocia wyzdrowiała, natomiast praktykant zachorował". Gdzież tu brak logiki?

3) „Spędzać" można i „czas", a nietylko „muchy z nosa, lub coś, co zawadza", jeżeli się doznaje nudów. A więc „czas spędzać" nie było, nie jest i nie będzie błędem.

4) Nie spierałem się o to, że „debiutować" jest wyrazem obcym. Obce wyrazy bywają niekiedy nie zbędne, jeżeli brak własnych, a zazwyczaj lepsze, niż sztucznie ukute. Lepsze może kalosze niż „błotniki", lepszy też parasol, niż „deszczochron", lepsza apteka, niż „lekotwornia" i t. d. Obce wyrazy spełniają służbę najemników, czy niewolników i żaden język uniknąć ich całkowicie nie zdoła i unikać nie usiłuje, jeżeli własnych nie ma. One języka nie przekształcają, nie psują, o ile są niezbędne. Natomiast obce zwroty mowy, obcy sposób wyrażania myśli, bywają szkodnikami strasznymi, bo zacierają rodzimość wyrażeń, narzucają nam obcy tok i układ myśli i oddają nas w duchową niewolę obcym narodom. Owo „debiutowanie" było dla mnie nie jasne, bo przywykliśmy „debiutem" nazywać pierwszy, popisowy występ aktora, czy innego artysty, ale nie to, że jakaś panienka po raz pierwszy wdziała długą suknię.

5) „Bardzo wiele", to nie „dwa grzyby w barszczu", jeno zupełnie dobre, ustalone wyrażenie, podobnie jak: „bardzo dobrze", „bardzo źle" i t. d. Że Francuz mówiąc: „beaucoup" nie dodaje: „tres", to jeszcze nie racya, aby przez imaginacyę pojechać na koronacyę i dopatrzyć się błędu tam, gdzie go nie ma. Ponieważ Francuz pyta się: „Jak panu idzie"? zatem według St. G. Polak nie mógłby po swojemu powiedzieć: Jak się panu powodzi, lub: Jak się pan miewa? Francuz mówi: „Ja się noszę dobrze", więc według St. G. nie wolno nam się wyrazić po swojemu: Mam się dobrze, dobrze mi się wiedzie. I t. d. i t. d.

6) „Ostatnia przysługa". Przysługą nie jest tylko „pożyczenie parasola", ale też okazanie pamięci o zmarłym, przez udział w pogrzebie. Dlaczego St. G. nazywa udział w pogrzebie „posługą", a błędem zowie „przysługą", tego nie rozumiem, skoro zmarłemu raczej „przysługuje" się, niż „posługuje", idąc za trumną.

Ostrożnie z przesadą! Takie „widzimisię" szkodzą dobrej sprawie strzeżenia czystości języka, bo rzecz ośmieszają. Chrońmy język od zepsucia, ale nie popadajmy w dziwactwa. Usuwajmy prawdziwe chwasty i rozliczne zagnieżdżone szkaradzieństwa, ale nie bawmy się w „purystów", bo to nie igraszki rebusowe, jako poważna praca nad uchronieniem ojczystej mowy od zakażenia i od przemiany na obcą. A w obcą się zmieni, gdy polskie wyrazy będziemy wtłaczali w niemiecką, czy francuską składnię.

Zadajmy sobie tyle trudu, aby usunąć te powszechne, w oczy bijące, tak strasznie rażące germanizmy, utworzone z czasownikiem: „przychodzić".

„Przyszło do skutku", zamiast: stało się, spełniło, dokonało i t. d.

„Ugoda przyszła do skutku", zamiast: ugodę, zawarto.

„Przyszedł do siebie", zamiast „odzyskał przytomność".

„Przychodzi ją (mowę ambasadora niemieckiego) zaliczyć do zupełnie nie zwykłych zdarzeń". Taki dziwoląg był niedawno w jednym z dzienników. Kto przychodzi po to, by tę mowę zaliczyć, tego nie powiedziano. I nie logiczne i nie polskie. Czyż nie można było szczerze, prosto, jasno po polsku powiedzieć: „Należy ją zaliczyć", „potrzeba" „można", „wypada" i t. d.

„W sejmie czeskim przyszło wczoraj do zajścia" (tenże sam dziennik). Po polsku: „było", „powstało zajście" i t. d.

„Przyszedł do majątku" (czemuż nie przyjechał? byłby się rychlej wzbogacił). Po polsku: „wzbogacił się", „zebrał majątek" (oszczędnością), „dorobił się majątku" (pracą), „zyskał majątek" (spekulacyą). Tyle polskich wyrażeń jasnych, dokładnie rzecz wyrażających, a my je wyrzucamy za okno, aby się posłużyć germanizmem, nielogicznym, bałamutnym.

„Przyszedł do przekonania". (A gdzież ono przebywało, czy istniało, że do niego przyjść było można?). Po polsku: „przekonał się" „nabrał przekonania" (po dokładniejszej rozwadze) „zyskał przekonanie" w skutek jakiejś przekonywującej dyskusyi z innymi). I znowu wykrętas wprost niedorzeczny, zamiast jasnych, rozumnych wyrażeń swojskich.

Również z czasownika „przynosić" tworzy się germanizmy.

„Dziennik przynosi wiadomość", zamiast „zawiera", „umieszcza", „podaje" i t. d.

„To miastu przynosi pożytek (szkodę)", zamiast: „to dla miasta pożyteczne (szkodliwe)", „z tego miasto ma pożytek" „przez to dozna szkody" „to wyrządzi szkodę".

A owo uporczywe francuskie „od czasu do czasu", zamiast: „co jakiś, co pewien czas, kiedy niekiedy".

„Praca sejmowa być płodną nie jest w stanie" (jeden z dzienników). A gdzie ucho polskie? Czyż nie można było po polsku napisać (Listy z Sejmu): „Praca sejmowa płodną być nie zdoła (nie może)".

Dość rozpowszechnione germanizmy z czasowników „robić", „prowadzić", i t. d.

Te i wiele, bardzo wiele innych naleciałości czytuje się i słyszy. Wydzierajmy je z ust i z pod pióra. Są to wykrętasy, dziwolągi, którymi zastępują niebaczni, czy obojętni obfite, jasne wyrażenia własne, i odzierają mowę ojczystą z bogactwa. Dzieje się to z niedbalstwa, z nałogu, niekiedy z uporu, który przypomina bajkę o Jaśku i ośle.

Usuwajmy takie widoczne, wyraźne błędy, ale nie popadajmy w maniactwo szukania dziury na całem. Nie czyńmy figielków z poważnej sprawy.

Na takich „purystów" jeszcze Słowacki narzekał.

„Miara, to rzecz wielka,

I tylko miarą stoi wielkość wszelka". *(W. Pol).*

Cz. P.

P. L. N.

Z Żółkwi pisze jeden z gorliwych członków P. L. N., że dzięki wielkiemu zrozumieniu idei i programu pracy ogólno-narodowej, propagowanej przez „Straż Polską" i „Ligę Narodową" w gronie miejscowej patryotycznej inteligencyi, tworzy się komitet w celu urządzenia zebrania informacyjnego, na który przybędzie z referatem delegat Zarządu P. L. N. ze Lwowa.

Pocieszającym dla sprawy narodowej jest objaw, że do tego zacnego celu chcą podać sobie dłonie wszyscy stojący w Żółkwi na świeczniku działalności narodowej obywatele z przeciwnych sobie partyi, pragnąc tem zaznaczyć, że gdzie idzie o sprawę narodową, tam zawsze pójdą zgodnie.

Z radością notujemy tę wiadomość z życzeniem serdecznem, by się sprawdziła i pociągnęła swym przykładem innych!

Wieczornica na rzecz P. L. N. Staraniem sekretarza „Komisyi inicyatywy", p. Augustowskiego zawiązał się we Lwowie osobny Komitet, złożony z licznego grona Pań i Panów, który dnia 19. stycznia urządził Wieczornicę ze współudziałem „Chóru techników", przeznaczając z góry czysty dochód z tej zabawy na rzecz P. L. N.

Dzięki gorliwej pracy i poparciu, szczególniej Pań gospodyń udała się Wieczornica pod każdym względem świetnie, pozostawiając u wszystkich uczestników jak najmilsze wspomnienia.

Po sprawdzeniu rachunków oddał Komitet Wieczornicy pozostałą nadwyżkę Zarządowi P. L. N. na ręce prof. E. Hauswalda.

Zarząd główny wyraża niniejszem W. Paniom gospodyniom i członkom Komitetu „Wieczornicy" za trudy poniesione, za ofiarność i wydatne poparcie celów naszego Towarzystwa szczere podziękowanie, potwierdzając zarazem odbiór kwoty 368 kor. i 44 hal. na rzecz P. L. N.

W przyszłym miesiącu odbędzie się **„Wiec delegatów" P. L. N.**, który zbada rachunki i sprawozdania Towarzystwa za rok 1909 i dokona częściowo nowych wyborów do Wydziału Naczelnego i Zarządu głównego i omówi sprawę połączenia się ze Strażą Polską. Prosimy wszystkich zastępców Ligi o wczesne nadesłanie swych sprawozdań i wniosków, a członków chętnych i zdatnych do pracy w Wydziale lub w Komisyach o łaskawe podanie swych adresów i życzeń w Biurze lwowskiem.

Wieczory parlamentarne P. L. N. we Lwowie musiały w czasie dziwnie wesołego karnawału ustąpić chwilowo tańczącej muzie. Obecnie rozpocznie Zarząd P. L. N. urządzanie szeregu zebrań członków i wprowadzonych gości w celu omawiania spraw społecznych i narodowych.

Jeden z pierwszych wieczorów obejmie rzecz o **Radzie narodowej**, która wedle słusznych życzeń, z różnych sfer społeczeństwa podniesionych, nie powinna być jedynie zjednoczeniem posłów polskich w celach wyborczych. Gdy sprawa ta obecnie nabrała znaczenia niezwykłej aktualności, pragnie Zarząd P. L. N. za pomocą swobodnej dyskusyi popularyzować ideę zgodnego współdziałania mającej się utworzyć instytucyi Rady narodowej z naszymi towarzystwami narodowymi dla dobra ogółu — a zarazem chciałby wysłuchać opinii członków P. L. N., należących do różnych obozów politycznych.

Wkrótce będzie również na jednym z wieczorów parlamentarnych omawiana bardzo ważna sprawa łączności licznych Towarzystw polskich, tułających się w najętych a drogo opłacanych lokalach. Chodzi o zainicyowanie budowy **wspólnego domu polskich Towarzystw we Lwowie**. Brak pomieszczenia biur i sal do zebrań daje się oddawna odczuwać polskim Towarzystwom, szczególniej tym, które spełniając zadania narodowe, społeczne, albo polityczne, nie cieszą się zbytnią popularnością. Szalona drożyzna lokali pożera niepotrzebnie olbrzymią część dochodów owych zakładów tak, że na spełnianie istotnych celów braknie zazwyczaj grosza. W ogólności prowadzą nasze stowarzyszenia ideowe, suchotniczy żywot, bo albo obracają swe skromne fundusze na spłacanie wygórowanych czynszów — albo znów więżą znaczne kapitały w budowlach własnych, przynoszących zbyt małą korzyść ogółowi, gdyż w znacznej części stoją pustkami, służąc do celów tylko jednego Towarzystwa.

Pragnąc temu zaradzić zamierza Zarząd P. L. N. wejść w porozumienie z pokrewnemi stowarzyszeniami i zainicyować założenie wspólnego domu — jak to ktoś nazwał „Zamku polskiego" — we Lwowie.

W dalszym ciągu odbędą się dyskusye na tematy: „Stanowisko i prawa kobiety w naszem społeczeństwie" i „Bojkot szkół rosyjskich przez młodzież polską".

Zbierajmy książki i pisma polskie! Koło lwowskie „Polskiej Ligi Narodowej" podjęło zacną i godną powszechnego poparcia myśl zbierania książek i pism polskich i przesyłania tychże rodakom, przebywającym na obczyźnie.

Tysiące niezamożnych rodaków zmuszonych do szukania zarobku poza krajem wynaradawiają się głównie z tego powodu, że brak im łączności z krajem, chociażby jeno za pomocą drukowanego słowa.

Obowiązkiem naszym jest zaradzić tej potrzebie. A obowiązek ten łatwy do spełnienia.

Prawie w każdym domu inteligentnym znajdują się zbędne książki lub perjodyczne pisma, dodatki powieściowe, czytanki szkolne, książki do nabożeństwa i t. p.

Przeto P. L. N. apeluje do znanej, a w tym wypadku niekosztownej ofiarności społeczeństwa polskiego wszystkich trzech zaborów, a podejmując się bezinteresownego pośrednictwa w sprawie, której cel piękny sam za sobą przemawia, daje równocześnie rękojmię, że w porozumieniu z organizacyami polskiemi, istniejącemi na obczyźnie, książki i pisma we właściwe ręce przeszle.

Sprawozdania w tej sprawie będą stale zamieszczane w „Straży Polskiej“ wspólnym organie P. L. N. Książki i pisma wraz z podaniem nazwisk ofiarodawców nadsyłać należy na ręce Dra Stan. Warmskiego ul. Supińskiego 6., lub do księgarni Gubrynowicza i Syna ul. Teatralna 9., we Lwowie.

Kronika „Straży Polskiej“.

Zarząd krakowskiego Koła Pań „Straży Polskiej“ rozesłał następującą odezwę do swych członkiń:

Nie dajmy upaść idei bojkotu, bo jedynie tą drogą możemy dojść do podniesienia ekonomicznego naszego kraju!

Oto hasło, pod którem rozpoczęłyśmy naszą działalność i prowadzić będziemy ją nadal! Po rozporządzeniu ministeryalnem w sprawie bojkotu nastąpiła pewna reakcya, jednak my, jako miłujące swój kraj, obywatelki i pragnące jego rozkwitu, nie możemy patrzeć obojętnie gdy na każdem polu przyznaje się u nas przewagę obcym wytworom ponad swojskimi!

W naszych warunkach bojkot nie jest represyą lub negacyą, lecz winien stać się podwaliną odrodzenia dla młodego naszego przemysłu. Pracować musimy wytrwale i statecznie, aby tą pracą dźwignąć i rozwinąć rodzimy przemysł!

Celem zoryentowania się w wyborze środków do powyższego celu służyć mogących, pragniemy w połowie marca zwołać publiczne zgromadzenie, dla którego chciałybyśmy przygotować dane statystyczne o dotychczasowych rezultatach w zabiegach popierania przemysłu krajowego i dlatego zwracamy się do Szanownych naszych Członków z uprzejmą prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1) Które z towarów krajowych używanych przez W. Panią nie wyrównują zagranicznym?

2) O ile W. Pani starała się wprowadzić do swego gospodarstwa towary krajowe?

3) Jakie jest zachowanie kupców wobec publiczności, żądającej towarów krajowych?

Na zwołać się mającem zgromadzeniu poruszymy myśl zjednoczenia gospodyń wiejskich na podstawach kooperacyjnych, a dla ułatwienia zbytu ich wytworów gospodarczych, założenia sklepu, którego prowadzenia podjęłoby się Koło Pań Straży polskiej!

W tej mierze pragnęłybyśmy poznać opinię W. Pań co do następujących momentów:

1) Czy sklep z artykułami wiejskimi tak jak w Warszawie i w Poznaniu miałby u nas racyę bytu?

2) Czy przyczyniłby się do wyrugowania artykułów zagranicznych?

3) Czy przystąpiłaby W. Pani, z niewielkim udziałem n. p. 10 koron do podobnego stowarzyszenia?

Na zakończenie tej odezwy zwracamy się do Was Szanowne Panie z gorącem wezwaniem, aby każda z Was powzięła i wykonała postanowienie zjednania choćby jednego nowego członka dla Straży polskiej, której rozwoju pragnąć należy dla dobra kraju!

Uwaga. Dla ułatwienia informacyi, przyjmowania wpisujących się i uiszczania wkładek ustanowiło Koło Pań codzienne dyżury z wyjątkiem soboty w godzinach popołudniowych od 5—6 w biurze Straży polskiej przy ul. Floryańskiej l. 1.

Zarząd Koła Pań Straży polskiej prosi najuprzejmiej Panie interesujące się jego sprawami o uczęszczanie na posiedzenia, które się odbywają co dwa tygodnie.

Koło pań Straży Polskiej wydało następującą odezwę do gospodyń wiejskich:

Byt i rozwój wszystkich narodów, a szczególniej naszego związane są ściśle z ekonomicznemi zasadami. Praca więc w kierunku rozwoju przemysłu i handlu krajowego stała się jednym z największych obowiązków obywatelskich!

Kraj nasz jest rolniczym, a tymczasem ogromne kapitały wychodzą za granicę za te produkty, które raczej z naszego kraju wywożone być winny. Pieniądz stale idzie do obcych, a my ubożejemy.

Z wielu stron, zwłaszcza od Pań ze wsi dochodzą nas skargi, że produktów swoich nie mogą zbyć, że pośrednicy ofiarują im zbyt niskie ceny, w obec czego wprost nie opłaca się produkcya.

Koło Pań Straży Polskiej postanowiło zająć się tą sprawą i w miarę sił zaradzić złemu. Pomne jednak, że tylko zorganizowaną siłą można osiągnąć poważne rezultaty w każdej pracy społecznej, zwraca się do wszystkich kobiet polskich, a w szczególności do Pań gospodyń wiejskich, z gorącą zachętą i prośbą o współdziałanie i pomoc w zamierzonej pracy.

Na początek zamierzamy otworzyć sklep o charakterze komisowym z artykułami kobiecego gospodarstwa wiejskiego w Krakowie.

Postanowienie nasze uważamy, jako konkretny wyraz usiłowań około podniesienia wydatności gospodarczej w kraju.

Ułatwienie zbytu powinno rozbudzić przemysł, przy kobiecych gospodarstwach wiejskich. Przemysł ten mógłby w przyszłości w zawiązywanych spółkach być prowadzony fabrycznie i rozwinąć się na wielką skalę.

Mając na myśli zarówno dobro wytwórców jak i odbiorców, chcemy w sklepie naszym zbliżyć wytwórcę do odbiorcy bez pośrednictwa pochłaniającego zwykle lwią część ceny towarów.

Na zyski nie liczymy, jedynie tylko na koszta prowadzenia sklepu musiałby nam być przyznany odpowiedni rabat.

W sklepie tym ma być wszystko co tylko wieś wyprodukować może, tak w surowych artykułach jak i przerobach więc: kwiaty cięte, jarzyny, owoce, jaja świeże t. zw. „Trinkeier“, drób, pierze, masło, sery zwyczajne i deserowe, konserwy owocowe i jarzynowe, wędliny, marynaty mięsne, buljony, chleb, pytlowany i razowy, pierniki, drobne pieczywo do herbaty, płótna na ścierki, len czesany i t. p.

Prosimy o łaskawe zakomunikowanie niniejszej odezwy w kole znajomych, oraz o bezzwłoczne zawiadomienie:

1) jakich artykułów zechce nam W. Pani dostarczać tak ze swego gospodarstwa, jako też w porozumieniu się z sąsiadkami z gospodarstw okolicznych.

2) w jakiej ilości?

3) w jakim terminie lub przeciągu czasu?

4) po jakich cenach?

Adres: Koło Pań Straży Polskiej w Krakowie, ul. Floryańska l. 1.

Krakowskie Koło II (męskie) Straży Polskiej rozesłało do właścicieli fabryk następujący kwestyonaryusz:

1. Jaka firma, siedziba, czyja własność, rok założenia.
2. Ilość zatrudnionych robotników? Czy robotnicy miejscowi, lub z poza Galicyi i mianowicie skąd?
3. Produkcya roczna?
4. Miejsca zbytu? Jaka część produkcyi zbywa się w kraju, ile wywozi się za granicę?
5. Prosimy podać: marki fabryczne, znaki ochronne, etykiety.
6. Czy produkcya jest ręczną, lub maszynową?
7. Czy fabryka posługuje się siłą motoru i jakiego?
8. Skąd surowiec pochodzi i materyały do przeróbki?
9. Czy ma fabryka zastępców stałych? Prosimy podać adresy tych zastępców oraz firmy handlowe, które mają wyroby fabryki na składzie?
10. Prosimy możliwie obszernie wskazać nam jakie tego rodzaju wyroby fabryk pruskich i innych zagranicznych konkurencyjnych, znajdują zbyt na miejscowym rynku i jakiemi markami fabrycznemi są zaopatrzone?

Zarząd główny Straży Polskiej mianował swym delegatem W. P. Stanisława Kaweckiego, sekretarza Wydziału powiatowego w Husiatynie.

Nakładem Straży Polskiej wyszła broszura G. Smólskiego p. t. „Kolonie i stosunki niemieckie w Galicyi“. Cena 80 hal.

Rada powiatowa w Żydaczowie przystąpiła do Straży Polskiej jako członek wspierający z kwotą 50 K.

Na cele Straży Polskiej złożyły Rady powiatowe: w Buczaczu 25 K. w Nisku 20 K. i w Wadowicach 10 K.

Rada miejska Wieliczki uchwaliła przystąpić do Straży Polskiej jako członek zwyczajny.

W lokalu Straży Polskiej odbędzie się dnia 24. lutego ankieta w sprawie wprowadzenia nowej pasty wynalezionej przez chemika miejskiego p. Stanisława Bandrowskiego.

Informacye P. L. N. Członkowie P. L. N. opłacający dobrowolny roczny podatek narodowy w kwocie 6 kor. lub wyżej i delegaci na prowincyi, otrzymują „Straż Polską“ bezpłatnie. Wszyscy inni członkowie płacą za prenumeratę roczną 2 kor. (z przesyłką pocztową). Zgłoszenia prenumeraty i pieniądze należy odsyłać pod adresem: P. L. N. Lwów, ul. Czarnieckiego 3. II. p.

Żaden członek „Polskiej Ligi Narodowej“ nie powinien się uchylać od prenumerowania „Straży Polskiej“.

Każda Polka, każdy Polak i wszystkie Stowarzyszenia polskie powinni być członkami obu, a przynajmniej jednego z tych dwóch Towarzystw narodowych, które dążą do utworzenia jednolitej organizacyi narodowej apolitycznej.

Wkładka członków P. L. N., jako dobrowolny podatek narodowy powinna się równać 1/500 części rocznego dochodu (czyli 2 kor. od 1000 kor.). Najmniejsza wkładka 2 kor. rocznie.

Posiadacze list wkładkowych powinni każdego miesiąca odsyłać skarbnikowi P. L. N. wykaz adresów zgłoszonych członków i gotówkę.

Zaległe wkładki za rok ubiegły należy jak najrychlej uiścić.

Delegaci (delegatki), którzy dotychczas jeszcze nie odpowiedzieli na pisma im przesłane i nie ujawnili żadnej działalności, zechcą nadesłać odpowiednie wyjaśnienia i.. rozpocząć pracę.

Statut można otrzymać osobiście po złożeniu 10 groszy w biurze P. L. N., lub po nadesłaniu 10 groszowego znaczka pocztowego.

O zmianie adresu należy donosić Zarządowi P. L. N.

Członkowie chętni do współpracy dla programu P. L. N. powinni się dobrowolnie zgłaszać do biura P. L. N.

We wszystkich sprawach należy się odnosić wprost **do biura P. L. N. we Lwowie ul. Czarnieckiego 3**

Straż Polska we Lwowie jest do nabycia w trafice przy ul. Gródeckiej l. 56 — w biurze dzienników Płohna i w księgarni Gubrynowicza & Syna.

Dla ubogiej młodzieży z Królestwa Polskiego należy nadsyłać datki pod adresem: Lwów, Bank zaliczkowy, Hetmańska 10. na książeczkę l. 7747.

Konkurs.

Tygodnik Narodowy Ilustrowany rozpisuje konkurs na szereg popularnych artykułów na temat: „Niebezpieczeństwo niemieckie w Galicyi i środki zaradcze“ mających przedstawić możliwie dokładny obraz inwazyi niemieckiej w pewnej dziedzinie n. p. w przemyśle naszym, handlu, urzędach i t. p., oraz wskazać środki, jakimi należałoby dążyć do usamodzielnienia się na wszystkich tych polach.

Tematów, łączących się bezpośrednio z istotą grożącego nam niebezpieczeństwa niemieckiego, znajdzie się niewątpliwie wiele; dla informacyi więc tylko podajemy niektóre, jak np. „Podbój przemysłu krajowego przez fabrykantów niemieckich, i jakich środków użyć nam należy w drodze do wyzwolenia“, „Postępy niemczyzny w urzędach naszych autonomicznych i centralnych“, „Uroszczenia niemieckie w szkolnictwie naszem“, „Żydzi a niebezpieczeństwo niemieckie“, „Niemcy zwolennikami ukraińców“ i t. p.

Objętość artykułów winna być nie mniejszą jak 2 strony *Tygodnika Narodowego*, nie większą jak 4 strony.

Prace konkursowe nadsyłać należy p. adr. *Tygodnik Narodowy* w Krakowie, ul. Wiślna l. 2.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 5 marca 1910 roku.

Nadesłane do konkursu artykuły opatrzone być winny w godło. Do artykułu należy dołączyć kopertę zamkniętą, zaopatrzoną tem samem godłem, co artykuł, a zawierającą nazwisko autora.

Za najlepsze artykuły wyznacza Redakcya „Tygodnika Narodowego“ trzy nagrody: pierwszą w wysokości 100 koron, drugą 60 kor., trzecią 40 kor. Pozatem wydawnictwo zastrzega sobie prawo nabycia artykułów nienagrodzonych, lecz przez sąd konkursowy wyróżnionych, za honoraryum płatnym od wiersza.

Wskład sądu konkursowego wchodzą pp. Najprzewielebniejszy ks. biskup Bandurski, Kazimierz Bartoszewicz i Fr. Rawita Gawroński.

† **Konstanty Moes-Oskragiełło**, członek Zarządu Głównego Straży Polskiej zmarł w b. m. „Pochodził z rodziny przemysłowców łódzkich Moesów, którzy osiedli w Polsce w pierwszej połowie XIX. w. i stali się dobrymi jej obywatelami. Zmarły, zlikwidowawszy swe interesy w Królestwie, pragnął koniec życia spędzić pod murami Wawelu. Zamiłowany w historyi i literaturze polskiej, zgromadził piękną i doborową bibliotekę. Do Zarządu „Straży“ wszedł w chwili, kiedy go już toczyła choroba prowadząca do grobu. Choć nie mógł z tego powodu brać wybitniejszego udziału w pracach naszej instytucyi, złożył jednak widome dowody swego dla jej celów uznania. Cześć jego pamięci!

Dary na cele „Straży“ i na fundusz bojkotowy oraz naddatki przy wkładkach członków złożyli: p. p. Fetter Karol z Łohzowa 1 K. 40 hal. Dr. Mochnacki Włodzimierz ze Lwowa 4 K. Gąsiorowski Zygmunt z Żyrawy 6 K. Podatek szeregowca Marcin Berliński) 1 K. 50 hal. Tymińska Marya ze Lwowa 4 K. Korczyńska Justyna z Krakowa (na wydawnictwo) 2 K. W. B. 5 K. Ks. Rabczak Paweł z Łańcuta 5 K. Świtkowski Mieczysław z Krakowa 2 K. Żurowska Helena na fundusz bojkotowy 2 K. Stanisław Kaweeki z Husiatyna 14 K.

Na ręce Straży Polskiej nadesłała redakcya *Dziennika Poznańskiego* zebrane składki na budowę kościoła w Niedzielnej w kwocie 14 K. Na pomnik Kościuszki pani X. (za pośrednictwem red. *Nowości literackich*) złożyła w biurze Straży 50 K.



Na raty najnowszej konstrukcyi, ulepszone Singera maszyny do szycia, haftu i do wszelkiego przemysłu, z fabryk światowej sławy, poleca pierwszorzędna, znana z rzetelności firma:

R. Pawłowski

w Krakowie, Rynek 18,

dostawca wielu Stowarzyszeń zarobk., Związku urzędników państw. i Centrali zakupu dla oficerów i urzędników.

Cenniki z historyą maszyn darmo i opłatnie.

UWAGA: C. i k. austro-węg. Konsulat stwierdził, że firma Singer Co wyrabia swoje „oryginalne" maszyny w Wittenberdze, pruskiej prowincyi Brandenburg, zaś kierownictwo handlowe posiada w Hamburgu.



GORSETY DIRECTOIRE

udoskonalone według modeli angielskich i francuskich, jedynie eleganckie, modne i wygodne dostać można tylko w pierwszej krajowej fabryce

H. SCHMEIDLERA

Kraków. Stradom 15.

FILIA ul. Grodzka L. 1. (wchód przez sień).

Gorsety le Néos, opaski la Néa Dra Franc. Glenarda w Paryżu.

• Wynalazek i fabrykat francuski! •

PATHÉFONY



są to niezrównane instrumenty grające kulką szafirową nie zdzierającą płyt. Odpada wymiana igły. Dlatego jedyne **do tańca.** Płyty nieskończenie trwałe, nawet po 1000 użyciu nie wydają chrapliwych dźwięków. Reprodukcye muzyki i głosu niezwykle czyste, o naturalnej barwie i sile. **Opera, Koncert, Kabaret w domu.** Wspaniałe **nowe** zdjęcia polskie: Bandrowski, Korolewicz, Zielony Balonik i t. d.

STEFAN GRUDZIŃSKI i TADEUSZ BERGER

Telefon 305. Kraków, Szewska 10. Czek 94.564.

Wszelkie naprawy. Przeróbki gramofonów na system Pathé.

Cenniki i objaśnienia darmo i opłatnie.

ZMIANA LOKALU.

Pracownia krawiecka JÓZEFA SKWARCZYŃSKIEGO

przy ulicy Szpitalnej — została przeniesioną

na ulicę Mikołajską L. 11.

Poleca się łaskawym względom Szan. P. T. Publiczności.

JAKÓB BETTER

KRAKÓW, UL. ŚW. JANA — TELEFON 515

— poleca —

wyroby betonowe i wszelkie materyały budowlane po cenach fabrycznych.

Pierwszy Zakład ciesielski

w Krakowie **BOLESŁAWA ZIELIŃSKIEGO** Kopernika 6.

zaopatrzony w maszyny najnowszego systemu, podejmuje się wykonania wszelkich robót ciesielskich z doborowego materyału, tak w robocie surowej (wiązania dachowe, stropy, rusztowania, hełmy wieżowe i t. p.), jako też struganej (schody miękkie, dębowe, wszelakiej konstrukcyi, altany, werandy, podłogi, ścianki i t. p.) — po możliwie przystępnych cenach.

Zakład powyższy przyjmuje również roboty do wykonania na maszynach, n. p. deski na podłogi do strugania, fugowania i na wpust i rowek, jako też materyały do przerznięcia, wyprawienia, kilowania, zarzynania i t. d.

Rok założenia 1900 **PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD KRAWIECKI NA ZAMÓWIENIA** Rok założenia 1900

JEDYNY SKŁAD UBRAŃ GOTOWYCH WYROBU WŁASNEGO

Kraków, ul. Floryańska 7, (tuż przy Rynku).

Filia: **Lwów, pl. Halicki 7,** (gdzie Cent. Kawiarnia).

ZWIĄZEK KATOLICKICH KRAWCÓW STOWARZYSZENIE ZAREJ. Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.